

25

rocznica
święta wolności

4 czerwca 1989r.



4 czerwca 1989: Rubikon i fundament

Kartka wyborcza nigdy wcześniej ani później w historii Polski nie miała takiej wagi, chociaż wolnej konkurencji poddano tylko trzecią część mandatów do Sejmu i wszystkie do Senatu. Przy Okrągłym Stole porozumiewali się tylko przedstawiciele, ale już 4 czerwca 1989 rozstrzygały głosy 62 proc Polaków.

Sens tamtych wyborów w pełni ujawnia się dopiero w zestawieniu z historią sąsiednich krajów, zwłaszcza z trwającymi wciąż dramatycznymi wydarzeniami na Ukrainie. Tym bardziej, że to Polska – zarówno w trakcie protestów sierpniowych i „karnawału” pierwszej legalnej „Solidarności” 1980-81, jak podczas ponownych wystąpień w maju i sierpniu 1988 dała impuls przemianom w pozostałych krajach bloku. Skutkiem stało się zburzenie muru berlińskiego.

Zgoda na wybory czerwcowe nie była wyrazem dobrej woli władzy, lecz skutkiem oporu społecznego (strajków 1988, podjętych przez młode pokolenie robotników i wspartych przez studentów), niewydolności gospodarki socjalistycznej oraz presji przemian w ZSRR, gdzie „pierestrojka” Michaila Gorbaczowa, pomyślana jako unowocześnienie socjalizmu, doprowadziła do jego stopniowego rozpadu. Dla Polaków większe znaczenie miała papieska myśl społeczna oraz uniesienia i refleksje, związane z kolejnymi pielgrzymkami Jana Pawła II do Ojczyzny. W poprzedzających czerwco-

we wybory rozmowach Kościół wziął na siebie trudną rolę mediatora. Życiowe role odegrali również popierający „Solidarność” zachodni artyści (jak Jane Fonda i Yves Montand), czy obecni na jej listach wyborczych przedstawiciele polskiej elity: Andrzej Wajda został senatorem z Suwałk, rektor Uniwersytetu Warszawskiego Grzegorz Białkowski z Piotrkowa. Koniec komunizmu ogłosiła w telewizji aktorka Joanna Szczepkowska, z wdziękiem wyręczając polityków.

Moc kartki wyborczej sprawiła, że w trzy miesiące później powstał pierwszy niekomunistyczny rząd Tadeusza Mazowieckiego, a po kolejnych kilku miesiącach przegrała PZPR rozwiązała się, wyprowadzając sztandar. Dotychczasowi jej satelici: Zjednoczone Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Demokratyczne stali się koalicjantami zwycięskiej „Solidarności”. Nim minął rok, PRL zmieniła nazwę na RP, a MO stała się na powrót policją. Orłowi z godła przywrócono historyczną koronę, zaś Polacy zagłosowali w kolejnych wyborach – samorządowych, wolnych już od kontraktu politycznego.

Wbrew przewidywaniom Zygmunta Czarastego z PZPR, który w gronie towarzyszy frasował się, że partia odniesie tak przygniatające zwycięstwo, iż Zachód nie uwierzy w demokratyczny charakter głosowania – z wyborach 4 czerwca mandaty uzyskali wszyscy kandydaci „S” do Senatu poza Piotrem Baumgartem, który nie zdążył zrobić zdjęcia z Lechem Wałęsą i przegrał z milionerem Henrykiem Stokłosą – oraz wszyscy „solidarnościowi” kandydaci do Sejmu. Plakat „W samo południe” z kowbojem, afisze kandydatów z Wałęsą i kawiarnia „Niespo-

dzianka”, gdzie mieścił się warszawski sztab wyborczy „S” stały się ikonami polskiej demokracji.

„Polacy, Czesi i Węgrzy czuli instynktownie, że odzyskują status Europejczyków” – pisał Andrew Nagorski w „Narodzinach wolności”. „Uważali, że historia jest teraz po ich stronie i że w taki czy inny sposób znajdą kurs ku kapitalizmowi”. Jednoznaczny werdykt wyborców z 4 czerwca oznaczał otwarcie na świat: po dziesięciu latach znaleźliśmy się w NATO, po piętnastu – w Unii Europejskiej. Pierwsze od wielu generacji pokolenie młodych Polaków dojrzało, zamiast o paszporty, ubiegając się o stypendia „Erasmusa”. Skorzystano z boomu edukacyjnego, którego beneficjentem stały się dwa miliony studentów – choć w 1989 r. w bloku prądzie pod względem wskaźników edukacyjnych wyprzedzaliśmy tylko Bułgarię.

Wspólnie z Ukrainą zorganizowaliśmy piłkarskie Euro 2012. Dzięki sukcesowi reformy samorządowej, gospodarności lokalnych liderów i funduszmom unijnym zmienił się zupełnie krajobraz polskich miast i wsi. Zdobyte cywilizacyjne – jak wodociąg czy telefon – dla młodych Polaków stały się oczywistością. Przed ćwierćwieczem na polskiej prowincji samochód pozostawał symbolem zamożności, dziś zmotoryzowanych więcej naliczamy na wsi niż w mieście.

Pod względem zamożności wyprzedziliśmy Węgry, dokąd przed ćwierćwieczem u schyłku „gulaszowego komunizmu” jeździło się z orbisowskimi wycieczkami po zakupy. Do średniej całej Unii daleko, dziś osiągamy ledwie dwie trzecie.

Zawiedzione nadzieje, związane z czerwcowymi wyborami

wiążą się za to z utratą idei solidarności, której – choć pozostała nazwą własną związku zawodowego – nie udało się przenieść w czasy rodzącego się kapitalizmu. Polacy korzystają z wolności i równości (tej drugiej – przynajmniej rozumianej jako równość szans), ale najgorzej u nas z braterstwem, trześcią z wartości, leżących u podstaw demokracji. Kampanie polityczne toczą się w klimacie dzielenia Polaków i wzajemnych oskarżeń, kosztem dobra wspólnego. Trudno się dziwić, że z kolejnych „Diagnoz społecznych” socjologów wynika, że obdarzamy parlamentarzystów trzykrotnie niższym zaufaniem, niż samorządowców. Demokracja najlepiej udało się Polakom na szczęblu lokalnym. To również efekt czerwca „89, skoro po tamtym zwycięstwie kolejnym przedsięwzięciem podjętym przez powstające w każdej niemal polskiej miejscowości komitety obywatelskie stały się pierwsze wolne wybory samorządowe.

Niezależnie od późniejszych kontrowersji (odstąpienie komunistom miejsc z puli po odrzuconej liście krajowej oraz wybór gen. Jaruzelskiego na prezydenta dzięki trickom parlamentarzystów „Solidarności”), 4 czerwca 1989 r. zapisał się w historii jako Rubikon – koniec Polski zależnej i powrót wolnej, ale również jako fundament demokracji, z wszystkimi sukcesami i porażkami. Polacy – dzięki niespodziewanej mobilizacji zmęczonego kryzysem i represjami społeczeństwa – okazali się prawdziwymi zwycięzcami zimnej wojny. Tym razem, jak rzadko w naszej historii, bez strat i ofiar.

ŁUKASZ PERZYNA

Drodzy Czytelnicy!



Najnowszy numer Gazety Mazowieckiej Wspólnoty Samorządowej poświęciliśmy w dużej mierze wydarzeniom z czerwca 1989r. Zachęcam do lektury wywiadów z uczestnikami i obserwatorami tamtych zdarzeń, m.in. z Markiem Jurkiem, Zbigniewem Janasem, Mariuszem Ambroziakiem.

W numerze podsumowujemy projekt Debat Europejskich, który przeprowadziliśmy w maju. W województwie mazowieckim zorganizowaliśmy kilkadziesiąt otwartych debat z kandydatami do Parlamentu Europejskiego. Gościliśmy kandydatów z różnych opcji politycznych. Relacja i fotogaleria na stronach 2 i 15.

Zapraszam na portal Mazowieckiej Wspólnoty Samorządowej wowej odsłonie graficznej, mws.org.pl, gdzie na bieżąco zamieszczamy artykuły, wywiady i zaproszenia.

Mieszkańców warszawskiej dzielnicy Praga Południe gorąco zachęcam do regularnego odwiedzania mojego bloga na portalu Informacyjnym Pragi Południe pdabrowski.ipragapoludnie.pl.

PAWEŁ DĄBROWSKI
REDAKTOR NACZELNY

P.DABROWSKI@GAZETASAMORZADNOSC.PL

DEBATY EUROPEJSKIE

DEBATY KANDYDATÓW DO PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO



W maju Mazowiecka Wspólnota Samorządowa przeprowadziła projekt pod tytułem Debat Europejskie. Zorganizowaliśmy kilkadziesiąt otwartych debat z kandydatami do Parlamentu Europejskiego na terenie województwa mazowieckiego. Gościliśmy kandydatów z różnych opcji politycznych. W debatach brali udział przedstawiciele: PO, PiS, SLD, PSL, Europa+ Twój Ruch, Solidarna Polska, Polska Razem, Nowa Prawica.

Celem projektu było przybliżenie mieszkańcom Mazowsza programów poszczególnych komitetów wyborczych i kandydatów.

Cykl debat rozpoczęliśmy w Kobyłce. Gdzie, 6 maja, dyskutowaliśmy o przyszłości Polski i Unii Europejskiej z Ryszardem Kaliszem, Danutą Hubner, Wojciechem Olejniczakiem, Pawłem Kowalem, Jackiem Kurskim, Michałem Marusik, Grzegorzem Benedykcińskim i Zdzisławem Krasnodebskim.

Do wyborów spotykaliśmy się jeszcze m.in. w Płocku, Sierpcu, Iłowie, Płońsku, Żurominie.

Zwieńczeniem projektu była akcja Warszawskiej Wspólnoty Samorządowej „Nie ma zgody na niską frekwencję!”. 24 maja,

w ponad 50 punktach w Warszawie, WWS zachęcała do udziału w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Działacze i sympatycy WWS, na czele z liderem Piotrem Guzią, rozdali ponad 60 tys. ulotek z apelem o wzięcie udziału w głosowaniu.

Debaty Europejskie to już kolejny tego typu projekt przeprowadzony przez Mazowiecką Wspólnotę Samorządową. Przed wyborami do Sejmu i Senatu w 2011 roku MWS również zorganizowało kilkadziesiąt debat z kandydatami do polskiego Parlamentu.

Zapraszamy do obejrzenia fotorelacji z debat na kolejnych stronach Samorządności oraz do odwiedzenia mws.org.pl/debaty-europejskie-2014.

Samorząd jedynym gospodarzem

Rozmowa z

prof. Jerzym Stępiem

– Jest Pan współtwórcą dwóch reform samorządowych: pierwszej gminnej z 1990 r, kiedy był Pan w Senacie przewodniczącym Komisji Samorządu Terytorialnego oraz drugiej, kiedy w latach 1998-99 pełnił Pan funkcję wiceministra spraw wewnętrznych, gdy wprowadzono nowe województwa – regiony, które dziś przynoszą Polsce korzyści w postaci środków unijnych...

– W dużej mierze tak, dlatego, że właśnie ta struktura wojewódzka umożliwiła lepsze pozyskiwanie środków unijnych. Nie ulega to wątpliwości.

– Czy Polska potrzebuje trzeciej reformy samorządowej?

– Moim zdaniem potrzebuje. Decentralizacja to przekazywanie zadań i kompetencji jednostkom samorządowym, ale także można na nią patrzeć z drugiej strony. Od strony rządu centralnego. Rząd pozbywa się pewnych zadań i kompetencji. Trzeba na nowo przemyśleć funkcje rządu centralnego i jego organizację. W ciągu tych dwudziestu paru lat dostrzegliśmy różnego rodzaju niedomagania samorządu, wręcz błędne niektóre rozwiązania, wymagające poprawy i to w nieodległym terminie. Potrzebny jest trzeci etap reformy, który by zamknął decentralizację. Decentralizacja to także nowa pozycja wojewody, który pozostaje współgospodarzem województwa, czasami mam wrażenie, że w niektórych województwach wciąż jest główną postacią, a wszystkie funkcje związane z gospodarowaniem na terenie województwa powinny być przejęte przez samorząd. To samorząd powinien być jedynym i właściwym gospodarzem regionu. Wiele jest jeszcze tutaj rzeczy do zrobienia: potrzeba nowych rozwiązań w zakresie finansów lokalnych, przydałyby się również w zakresie struktury samorządu, także jeśli chodzi o podział terytorialny i prawo wyborcze, proces legislacyjny



w samorządzie – pozostaje mnóstwo problemów do rozwiązania.

– Panie Profesorze, czy antidotum na rozwiązanie przynajmniej części z nich stałyby się wybory jednomandatowe? Wiadomo, że już się odbywają na tym najniższym szczeblu samorządu...

– Uważam, że one są niezbędne wszędzie, w całym samorządzie. Zrozumiałem to dość szybko, w 1991 r. Wcześniej, gdy w 1990 r. byłem generalnym komisarzem wyborczym do wyborów samorządowych, wydawało mi się, że ordynacja proporcjonalna może służyć samorządowi – ale już po roku doświadczeń nie miałem wątpliwości, że... to był jeden z poważniejszych błędów. Ten błąd musimy naprawić. Chcę przypomnieć, że Platforma obiecywała ordynację z okręgami jednomandatowymi w całym samorządzie. Podobnie jak zniesienie Senatu i zmniejszenie liczby posłów.

– Pamiętam akcję „cztery razy tak” na rzecz referendum w tych sprawach czy błękitny marsz wolności w rocznicę wyborów czerwcowych w Łodzi

w 2005 r. Natomiast dziś choćby sondaże pokazują, że od pięćdziesięciu paru do 60 proc. wynosi zaufanie, deklarowane wobec samorządowców, zaś wobec parlamentarzystów fałuje od 20 do 25 proc., nieco wyżej notowany jest Senat od Sejmu...

– I tak jest od lat...

– Czy z tego można wnosić, że odnowa polskiej polityki może wyjść z samorządów?

– Ja tak uważam. Zresztą już w 1990 roku, czy w 1989, kiedy rozpoczynaliśmy prace nad reformą samorządową uznawałem, że ona ma za zadanie nie tylko uporządkować problemy lokalne i regionalne, ale także powinna dostarczyć państwu jako całości polityków formatu... ogólnopolskiego. I takich ludzi samorząd kształci. Dostrzegam wielu wybitnych polityków, którzy mają doświadczenie samorządowe. W Europie Zachodniej pozostaje to prawie powszechnym standardem.

– Zanim Nicolas Sarkozy został prezydentem Francji, najpierw jako mer Neuil-

ly w aglomeracji paryskiej stał się znany z tego, że sprzeciwił się budowaniu HLM-ów, czyli komunalnych blokowisk, argumentując, że obniża jakość życia mieszkańców.

– Z kolei jego poprzednik Jacques Chirac był merem Paryża. Doświadczenie samorządowe okazuje się bardzo przydatne, ale nie chcę traktować samorządu jako narzędzia wyszukiwania ludzi do polityki – bo samorząd głównie powinien się skupiać na rozwiązywaniu tych problemów, którymi żyją na co dzień ludzie. To jest dla ludzi najważniejsze. Oni sami najlepiej wiedzą, jakie decyzje powinny być podejmowane, co jest dla nich ważne, jacy ludzie powinni rządzić w gminach i miastach. Tak to widzę.

– Wiadomo, że trudno wyrzec się własnych przywilejów. O to rozbijała się do tej pory kwestia likwidacji sprzecznych z gwarancją równości szans zasad finansowania partii politycznych i komitetów. Czy zamiast zakładać, że w imię szlachetności własnej partii wyrzekną się dotacji i subwencji można spróbować takiego rozwiązania, że przy zmniejszeniu – kolejnym, bo one już zostały zredukowane – dotacji i subwencji, partie polityczne i komitety wyborców będą wreszcie traktowane równo przy wyborach samorządowych?

– Chciałbym, żeby tak było. Ale oczywiście zdaje sobie sprawę z tego, że partie polityczne zawsze będą potrafiły lepiej zadbać o swoje interesy, mając swoje przedstawicielstwo w parlamencie, tam, gdzie się uchwała prawo. Parlamentarzyści powinni pamiętać, że gdzieś tam znajduje się cienka granica, poza którą komitety wyborcze mogą czuć się dyskryminowane. A właśnie element obywatelski w naszym samorządzie – z uwagi na doświadczenia początków transformacji, lat 90 – pozostaje bardzo ważny. Nie

jestem zwolennikiem finansowania partii politycznych z budżetu państwa. To oznacza upartyjnianie państwa, ale z drugiej strony dostrzegam też pewne zalety tego systemu – bo kiedy partie nie mają środków z budżetu, to oczywiście uzależniają się od źródeł innego rodzaju. Tutaj musi zostać przeprowadzona sensowna granica. Wolalbym, żeby partie raczej nie wydawały tych pieniędzy na kampanie wyborcze w samorządzie. Można by wprowadzić takie zasady, które zrównałyby pozycje komitetów wyborczych z komitetami partyjnymi.

– Panie Profesorze jaką rolę ma odegrać przygotowany przez Pana kongres polskich samorządowców? Czy okaże się forum dyskusyjnym, czy stanie się, toutes proportions gardees, współczesnym odpowiednikiem komitetów obywatelskich sprzed dwudziestu paru lat?

– Oczywiście dwa razy nie wchodzi się do tej samej rzeki. Wtedy komitety obywatelskie nie miały żadnego doświadczenia samorządowego. Teraz jednak ludzie związani z różnego rodzaju obywatelskimi ruchami tego doświadczenia mają dużo, bo już prawie dwadzieścia pięć lat realizowanej praktycznej samorządności. W związku z tym uważam, że skupiający właśnie te środowiska Obywatelski Kongres Samorządowy stanie się znakomitą okazją do podsumowania tych prawie 25 lat i do proponowania koniecznych korekt, zarówno w ustroju, jak i w rozwiązaniach finansowych, a przede wszystkim jeśli chodzi o problematykę zagospodarowania przestrzennego. Chciałbym także, żeby refleksja tego kongresu posłużyła do budowania kompleksowego kodeksu samorządowego. Dzisiaj potrzebny jest już całociowy akt prawny, który potrafiłby odpowiednio spożytkować olbrzymie doświadczenie samorządowe mijającego 25-lecia.

Głoszenie płatne

UBEZPIECZENIE ZDROWOTNE

Bez stania w kolejkach i oczekiwania na wolny termin wizyty.

Koniec z:

- długim stanieniem w kolejce do rejestracji
- długimi terminami oczekiwania na wizytę u specjalisty
- niepunktualnymi przyjęciami przez lekarza

Masz zagwarantowaną szybką i profesjonalną pomoc.

- krótki czas oczekiwania na wizytę
- wysoka jakość obsługi
- wizyty o umówionej porze
- dostęp do specjalistów i ambulatorium
- pakiety dostosowane do Twoich potrzeb

Sprawdź! SPECJALNA OFERTA
przygotowana we współpracy z największymi towarzystwami ubezpieczeniowymi

AMA CONSULTING
UBEZPIECZENIA I FINANSE

Biurowo Mokotów, ul. Cypryjska 2G, tel.: 022 742 10 75
Biurowo Białoleka, ul. Pasłęcka 8D, tel.: 022 842 48 49

MPG media

www.mpgmedia.pl

Reklama w internecie!

Zareklamuj swoją firmę w internecie i skutecznie docieraj do nowych klientów!

W naszej ofercie proponujemy zakup banerów odstónowych m.in. na portalach: www.iochota.pl, www.ipragapoludnie.pl, www.imokotow.pl, www.izoliborz.pl, www.ibialoleka.pl, www.itargowek.pl, www.ipiastow.pl, www.twojradom.pl.

Zapoznaj się z naszą ofertą reklamową i skontaktuj się z działem handlowym!

REKLAMA
tel. 884 88 99 30
email: reklama@mpgmedia.pl

Wszystko było szczere, autentyczne

Rozmowa z

Mariuszem Ambroziakiem

– Wielu działaczy „Solidarności”, prowadzących kampanię w 1989 r. odwoływało się do własnych doświadczeń z lat 1980-81, ale Pan w czasach tamtego karnawału był jeszcze w szkole?

– Oczywiście dla mnie to był okres szkoły podstawowej, gdy wprowadzono stan wojenny – chodziłem do szóstej klasy. Pamiętam więc to wszystko oczyma dziecka dwunastoletniego, ale oczywiście udzielały mi się emocje dorosłych. Przed 13 grudnia był to nastrój uniesienia i podekscytowania, gdy w mojej gminie Iłów powstawała „Solidarność” Rolnicza, pamiętam święcenie jej sztandaru, coś w rodzaju euforii w tym okresie. W szkole podstawowej bawiliśmy się w strajk, pamiętam przyklejanie sobie wąsów. Każdy niezależnie od wieku przeżywał olbrzymie poczucie jedności. W domu z rodzicami, czasem w towarzystwie sąsiadów, słuchało się Głosu Ameryki i Wolnej Europy. W 1984 r. zacząłem edukację w fabryce budowy traktorów w Ursusie, szkoła działała pod ścisłym patronatem zakładów mechanicznych Ursus. I w 1985 r. odbywaaliśmy praktyki szkolne, trwała mroźna zima, tak że temperatura w fabrycznej hali... zbliżyła się do zera. W grupie kilku osób postanowiliśmy nie podejmować pracy. W trakcie tego zamieszania podszedł do nas działacz podziemnych struktur „Solidarności” Marek Jarosiński. Udzielił nam mocnego poparcia. Od tego czasu mogę powiedzieć, że rozpoczęła się moja prawdziwa przygoda z podziemnymi strukturami „Solidarności” w Ursusie i na Mazowszu. Wcześniej już od 1979 r. w Ursusie pracował mój brat Sławomir, który wprowadzał mnie w ten nastrój, przywoząc do domu gazety i ulotki „Solidarności”, zarówno przed jak po wprowadzeniu stanu wojennego.

– Z kolei to Pan po latach przywiózł do rodzinnego Iłowa... audycję niezależnego radia.

– Zanim to nastąpiło, od 1985 r. prowadziłem w Ursusie systematyczną działalność. Organizowaliśmy tam msze za ojczyznę, zapraszaliśmy prof. Andrzeja Stelma-



chowskiego. Wreszcie rzeczywiście przygotowaliśmy też audycję Radia Solidarność dla rolników z gminy Iłów, której narratorem był Stefan Bratkowski. Puszczaliśmy ją zarówno z mojego domu, jak z plebanii od ks. Michała Swędrowskiego, który wywarł duży wpływ na wychowanie patriotyczne naszego iłowskiego środowiska. Audycję przygotowaliśmy wspólnie ze Stanisławem Karpezo, jednym z najbardziej ofiarnych działaczy „S” w Ursusie, wielokrotnie aresztowanym. Zaczynała się od słów: „Nadajemy specjalną audycję dla rolników z gminy Iłów”.

– Dla starszych kolegów przeżyłem pokoleniowym pozostał Sierpień '80, dla Pana już strajki z 1988 r?

– Rok 1988 to początek nowej „Solidarności”: Wybrzeże, Śląsk. Wtedy młode pokolenie próbuje też 11 maja podjąć pierwszy po wielu latach przerwy strajk w Ursusie. Większość uczestników stanowią robotnicy poniżej 30 roku życia. Strajk okazał się częściowo tylko udany, ale ważne stało się to, że dzięki niemu „solidarnościowa” Warszawa obudziła się z letargu. Powtórka strajku na-

stała w sierpniu 1988 r, aktywny udział wzięli wtedy wśród liderów Zbigniew Janas, Marek Jarosiński, Henryk Tachasiuk i Kazimierz Wróblewski, naszym rzecznikiem prasowym został Grzegorz Kostrzewa-Zorbas. Strajk został rozbity przez służby aparatu przemocy, kilka osób aresztowano, kilka wyrzucono z pracy, kilka się ukrywało. Ale jesienią trwają już pierwsze kontakty opozycji z władzą przy udziale Kościoła

– Jak odbyło się przejście od działalności związkowej w warunkach podziemnych do kampanii wyborczej przed Czerwcem 1989 r: krok po kroku czy skokowo?

– To był ostatni okres, kiedy „Solidarność” pozostawała nie tylko związkiem zawodowym, ale ruchem, który słusznie określa się mianem społecznego czy wręcz narodowowyzwoleńczego. W związku z tym to był bardzo burzliwy okres, bo z jednej strony staraliśmy się zająć problemami bezpośrednio na terenie zakładu pracy i na nowo zdefiniować interesy członków „Solidarności” pracujących w fabryce – a zarazem mocno angażowało nas wszystko to, co działo się po-

za murami fabryki, na terenie Warszawy i dzielnicy Ursus. Reaktywacja struktur związkowych, zorganizowanie ich na nowo, odzyskanie majątku „Solidarności” to jedno, a równolegle rozpoczęły się przygotowania do częściowo wolnych wyborów, które wtedy traktowaliśmy jakby były w pełni wolne... Powstają komitety obywatelskie, jeden z nich zostaje powołany w Ursusie. Zbieraliśmy podpisy pod listami poparcia dla kandydatów Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Rozlepialiśmy plakaty, rozwoziliśmy ulotki i gazety. Jeździłem z kandydatami na spotkania z wyborcami.

– Jak ludzie Was przyjmowali?

– Z reguły sale były pełne. Chyba jeszcze więcej ludzi skupiały spotkania na otwartej przestrzeni. Z reguły był ktoś kto prowadził, gospodarz spotkania, zaś kandydat wygłaszał zagajenie odnoszące się do wszystkich dziedzin życia: historii, obecności wojsk radzieckich w Polsce, problemów z socjalistycznym pracodawcą w zakładach pracy. Wyczuwało się tendencję, żeby szybciej, szybciej, szybciej... bo taka była presja społeczna.

– Które spotkanie zapamiętał Pan jako najbardziej udane?

– W parku w Ursusie, otwarte. Także w domu kultury na Ochocie. Pojawił się zwyczaj, że przyjeżdżali artyści, wspierający kandydatów: Jerzy Zelnik, Marian Opania.

– Promowany przez Was Zbigniew Janas, kandydat do Sejmu z okręgu obejmującego Ochotę i Ursus uzyskał jeden z najlepszych wyników w Warszawie – 81 proc głosów.

– W sztabie wyborczym na Ochocie, którym kierował Tadeusz Szomowski, późniejszy ambasador oraz Witold Siewewicz, obecny wiceburmistrz na Żoliborzu powstało centrum kierowania kampanią w okręgu. Jedną z osób, które nas odwiedziły w trakcie naszej pracy, był prof. Zbigniew Brzeziński. W Ursusie wraz z Jackiem Czaputowiczem zorganizowaliśmy – wspólnie „Solidarność” oraz Ruch „Wolność i Pokój” – koncert wolności z udziałem Joan Baez.

Śpiewała balladowe utwory, uznawano ją za wychowankę Boba Dylana. Nie byliśmy pewni, ile osób przyjdzie na ten koncert, ale okazało się, że nie tylko ludzie nie zawiedli, bo sala okazała się wypełniona, ale zainteresowały się tym wydarzeniem światowe media, jak BBC. Amerykańska telewizja CNN nadała relację z koncertu. Wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak wiele to znaczy. Joan Baez miała później pojechać do Chin, a pamiętamy, co tam z kolei zdarzyło się 4 czerwca. Jej koncert stał się elementem międzynarodowej solidarności z demokratycznymi przemianami.

– Czy rozmiary zwycięstwa z 4 czerwca zaskoczyły Pana? Nawet w obozie „Solidarności” pojawiały się wcześniej prognozy, że uda się zdobyć 40 proc podlegających wolnej konkurencji mandatów, może 60 proc... ale nie, że aż wszystkie z wyjątkiem jednego, dla Henryka Stokłosy w Pile?

– Nie pamiętam żadnych własnych wątpliwości, ani wrażenia, że tylko część tych mandatów, o które toczyliśmy walkę, przypadnie „Solidarności”. Wydawało nam się, przed wyborami i w trakcie, że odniesiemy pełne zwycięstwo. Z rozmów z ludźmi czerpałem przekonanie, że na naszych kandydatów zagłosują. Tamten moment stanowił przecież szczyt moralnej siły czystej ideowo i patriotycznej „Solidarności”, tak byliśmy odbierani. Słusznie, ponieważ to, co robiliśmy wtedy, było autentyczne, szczere. Być może nie rozumieliśmy do końca kontekstu globalnego współtworzonych przez nas wydarzeń, nie znaliśmy tak szczegółowo, jak dzisiaj tego, co się działo w Związku Radzieckim, w najbliższym otoczeniu Polski. Wiele faktów, o których dziś wiemy, poznaliśmy później. Ale mojej oceny zupełnie to nie zmienia. Uważam ten okres w moim życiu za najważniejszy, za najlepszy, jeśli chodzi o czynne uczestnictwo w życiu publicznym.

Mariusz Ambroziak (ur. 1969) w czasach PRL współorganizował niezależną działalność związkową i strajki w Ursusie. W wolnej Polsce był działaczem ZChN i posłem AWS. Wiceprzewodniczący Mazowieckiej Wspólnoty Samorządowej.

Ogłoszenie płatne

WADIDASACH.PL
portal ludzi aktywnych

Aktownie spędzaj czas wolny
Znajdź swojego trenera
Znajdź partnera do gry
Stwórz swoją drużynę
Ułóż dla siebie dietę
Znajdź sport dla siebie
Profesjonalny system do rozgrywek
Baza ofert, obiektów

Zapraszam na bloga

Mariusz Ambroziak
ambroziak.e-sochaczew.pl

FUNDACJA AVE.PL
Organizacja pożytku publicznego

Dwa powroty do Ursusa

Rozmowa ze Zbigniewem Janasem

– Czy dla wieloletniego działacza podziemnej „Solidarności” problem stanowiło w 1989 r. przejście od konspiracji do kampanii, prowadzonej w zachodnim stylu, którą symbolizował plakat z Gary Cooperem, a poparły ją autorytety masowej kultury, jak Yves Montand czy Joan Baez?

– Joan Baez wtedy u mnie w Ursusie wystąpiła z koncertem. Jeśli zaś chodzi o przejście, o które Pan pyta – to myślę, że jest z tym podobnie, jak z samochodem. Jeżeli się pan przesiądzie z gorszego samochodu do lepszego, to łatwiutko. Gorzej, jeśli z dobrego w zły... Nie miałem z tą zmianą żadnego problemu, wywodzię się ze szkoły korowskiej, zawsze byłem nastawiony na maksymalnie otwarte działania, szczerze rozmowy, spotkanie się z ludźmi. W ten sposób działaliśmy już w czasach przedsierpniowych. Oczywiście pozostawały rzeczy, które trzeba było trzymać w tajemnicy, ale zdarzało się, że na zebraniach partyjnych PZPR albo związkowych CRZZ pojawiałem się i rozdawałem „Robotnika”, który był wydawany poza cenzurą. W stanie wojennym niemal z godziny na godzinę przestawiliśmy się na działanie podziemne i w konspiracji dobrze dawałem sobie radę. Wiedzieliśmy, że to będzie długi marsz. Przed czerwcowymi wyborami było o tyle łatwiej, że w zasadzie już w 1988 r. zaczęliśmy... wychodzić na powierzchnię. Ogłaszaliśmy pod nazwiskami powstanie komisji zakładowych i innych struktur. Mieliśmy czas na przyzwyczajenie się. Nawet po wyborach pojedynczy ludzie zostali w konspiracji...

– Kornel Morawiecki ujawnił się dopiero w 1990 r., relacjonowałem to już dla „Gazety Wyborczej”...

– Natomiast ja, co ciekawe, po wyborach czerwcowych z 1989 r., – jeszcze uczestniczyłem w konspiracyjnym spotkaniu... z Vaclavem Havlem i innymi dysydentami z Czechosłowacji. Odkryło się w górach, już po zmianach u nas, co było o tyle niesamowite, że nasi przyjaciele poszli na nie w konspiracji, a my już jako posłowie. Pokazywałem czeskim przyjaciółom moją legitymację poselską. Radocha nie do uwierzenia... Ciekawe, co by się stało, gdyby nas bezpieka albo ochrona pogranicza zwinęły, ale do tego nie doszło. Wkrótce i u nich wydarzenia przyspieszyły. Havel został prezydentem, zaś gdy po Jiriego Dienstbiera, powołanego na stanowisko wicepremiera, przyjechał służbowy samochód, kierowca musiał czekać, aż nowy członek rządu napali w kotłowni, bo takie były jego dotychczasowe zawodowe obowiązki, a wypowiedzenia jeszcze nie złożył.

– Ale zanim w Polsce i u sąsiadów historia przyspieszyła... ostatni wyrok, jaki ma Pan na swoim koncie, zapadł w 1988 r?

– To był jeden z ostatnich takich wyroków, w 1988 r, w sierpniu. W czasie strajku zatrzymano mnie i Grzegorza Kostrzewę-Zorbasę na terenie zakładu. Nowi działacze „Solidarności” zainicjowali strajk – jak się u nas mówiło – „na licencji”, a my w starej części za-



kładu. Wyszliśmy i mieliśmy się spotkać z tamtą grupą, która rozpoczęła w drugim miejscu strajk. Ale się nie spotkaliśmy. Ktoś idący na czele drugiego pochodu skierował ich w drugą stronę, może to był agent, a może dezorientacja. Pamiętam, że teren był rozległy, w dobrych czasach zakłady mechaniczne zatrudniały 16 tys osób, jak spore miasto. „Zhaltowali” nas i siedzieliśmy z Grzegorzem Kostrzewą-Zorbasem na Służewcu, a po sąsiedztwie w drugiej celi – grupa z Sewerynem Jaworskim, która próbowała „postawić” Hutę Warszawa jak my Ursus. Dopiero tuż po Okrągłym Stole wróciliśmy do zakładów. Przyszliśmy z powrotem do Ursusa, tylko część z nas, wielu kolegów pozakładało własne firmy i nimi się zajęło. Wróciłem w kwietniu 1989 do zakładu jako przewodniczący odradzającej się legalnie „Solidarności”, gdyż my nigdy z ciągłości nie zrezygnowaliśmy. Komisja fabryczna, na której czele stał Kazio Wróblewski, starszy robotnik, niezwykle porządny człowiek, powstała już w 1988. Pojawili się wielu młodych działacze: Mariusz Ambroziak, Sławomir Dominiak, Jerzy Nowak a także 30-latek Zygmunt Wrzodak. Wcześniej Marek Jaroński był przewodniczącym legalnego samorządu, ale naprawdę kierował „Solidarnością” zakładową.

– Jakie zdarzenia poprzedziły Pana kandydowanie do Sejmu?

– W lutym 1989 r. razem z Grzegorzem Kostrzewą-Zorbasem wyjechalśmy do Stanów Zjednoczonych na stypendium USAA, które załatwił Janek Lityński. Władze po raz pierwszy wypuścili mnie za granicę. Pojechalśmy z misją, żeby przekonywać Amerykanów, że szykuje się re-

wolucja w całej Europie Środkowo-Wschodniej. I zachęcać ich do współpracy. Przez 6 tygodni odbywaliśmy spotkania z Janem Nowakiem-Jeziorańskim, naszym przewodnikiem po strukturach rządowych i ze Zbigniewem Brzezińskim oraz Danielem Friedem. Wchodzimy z Nowakiem-Jeziorańskim do Departamentu Stanu i wtedy witając się z jedną z pracownic, ładną i elegancką dziewczyną, zgodnie z polskim zwyczajem – jestem przecież dawnym robotnikiem – całuję ją w rękę. Po wyjściu stamtąd Nowak-Jeziorański delikatnie zwrócił mi uwagę, że w Stanach nie jest to przyjęte. Wie Pan, kim była ta kobieta?

– Nie wiem, skąd...

– To była Condoleezza Rice. Pierwszy raz w życiu ktoś ją pocałował w rękę, co – jak powiedziała później Nowakowi-Jeziorańskiemu – bardzo jej się spodobało. Potem wiele razy przekazywała mi pozdrowienia przez Daniela Frieda. Przeżyłem bardzo pobyt w Ameryce, przecież zawsze byłem przekonany, że niestety dużo bliżej jest Syberii. Odbiliśmy wiele fascynujących spotkań z Polakami, z Jerzym Kosińskim, u którego poznałem Ulę Dudziak. Spędziliśmy niesamowity wieczór u Czesława Miłosa w domu, przy litrowej butelce wódki i śledzikach.

– A po powrocie rozstrzygnęła się sprawa Pana kandydowania na posła?

– Najpierw w Ursusie zajmowałem się „Solidarnością”, już nie tak liczną jak w 1980 r, a trzeba pamiętać, że przez cały stan wojenny 2 tys pracowników wciąż płaciło tam składki związkowe. Było nowe kierownictwo zakładu, wcześniej zwolniono dyrektora Zbigniewa Wilka za sprzyjanie „Solidarności”,

zresztą potem został naszym senatorem. Jeszcze po stanie wojennym pracowałem z nim wspólnie nad programem gospodarczym (w tym prywatyzacji) możliwym do zrealizowania po odzyskaniu niepodległości. Można więc powiedzieć, że ludzie „Solidarności”, wierzyli, że doczekamy czasu, kiedy Polska będzie wolna. Jeszcze przed 1989 r. dobrze zarabiałem, prowadziłem firmę handlową z przyjacielem, który przedtem dostał trzy lata więzienia za zorganizowanie strajku w stanie wojennym. Byłem samodzielnym, niezależnym od państwa. Zostałem mu to jednak i poszedłem do pracy w „Solidarności”. Nie wyobrażałem sobie jednak tego, żeby kandydować w wyborach. Aż tu w pewnym momencie dzwoni do mnie Janek Lityński i mówi: – Startujesz w wyborach. Roześmiałem się na to, jak kto głupi: – Ja, chyba zwariowałeś? Nie idę do żadnego Sejmu, muszę odbudować „Solidarność”. A Janek na to: – Każdy tak gada. Startujesz i koniec!

– Jaki argument Pana przekonał?

– Wielu ludzi „Solidarności” odmawiało, a Lityński pytał mnie, kto ma startować, jak nie ci, którzy wyrobili sobie nazwiska. Szefem sztabu został Tadek Szumowski, wtedy naukowiec uniwersytecki, teraz ambasador. Miałem oczywiście zdjęcie z Lechem Wałęsą. Ale tamta kampania opierała się w największym stopniu na spotkaniach. Fascynujące okazało się to, że jeździłem ze spotkaniem na spotkanie i wszędzie przyjmowały mnie setki ludzi, w salach i na piknikach. Przychodzili czasem antysemitami czy prowokatorzy, ale sympatii do władzy już nikt nie deklarował. Anna Radziwiłł uwielbiała ze mną jeździć, bo

ja byłem showman, a ona cichutka, mądrze i spokojnie przekonywała i tak się uzupełnialiśmy. Wspierali nas wielcy aktorzy, jeździła za mną Ewa Błaszczyk, Janusz Gajos, Daniel Olbrychski, Beata Tyszkiewicz. Wprowadzali element powagi, deklamowali wiersze. Pamiętam też dziennikarza Wojciecha Reszczyńskiego. Do końca twardo walczyliśmy, nie było przecież Internetu, wszystko odbywało się w ten sposób, w jaki robi się porządną kampanię samorządową: czyli od drzwi do drzwi... Nawet nie próbowałem się zastanawiać, jaki będzie wynik, dlatego, że może to rozbroić, a ja czuję się człowiekiem walczącym. A wiedzieliśmy, o co walczymy. Przecież dopiero co wyszliśmy z podziemia.

– Czym zajął się Pan po wyborach?

– Gdy zostałem posłem, najwięcej uwagi poświęcałem wspieraniu demokratycznych inicjatyw w bloku socjalistycznym. Szybko powstała koncepcja Forum Europy Środkowo-Wschodniej przy Fundacji Batorego. Byłem jego pierwszym dyrektorem. Po prostu potrzebowaliśmy struktur do prowadzenia równoległej polityki zagranicznej, skoro ambasadorowie wywodzili się ze starego ustroju. Największy transport z całą drukarnią – kupioną dzięki pomocy z USA i protekcji Vaclava Havla – ukryty w ciężarówce wysłaliśmy do Bułgarii, odbiorcą była Unia Sił Demokratycznych Żelju Żelewa, który później został prezydentem. Na tym to polegało, że trzeba było wszystko naraz zrobić... Aż do października zostałem przewodniczącym „Solidarności” Ursusa, ale wiedziałem, że bycie posłem do tego nie pasuje. Chciałem, żeby to Mariusz Ambroziak został moim następcą. Jednak albo sam ocenił, albo inni przeformowali opinię, że jest na to za młody. Miał 20 lat. Szkoda, bo był najlepiej do tego przygotowany, również późniejsza kariera biznesowa pokazuje, że to zdolny człowiek. Szefem „Solidarności” Ursusa został dużo starszy Janusz Ściskalski. Po nim zaś Zygmunt Wrzodak. I Ursus padł ofiarą sporów politycznych.

– Ale Pan o nim nie zapomniał. Niedawno miało miejsce zdarzenie, które symbolicznie nazwać można Pana drugim już powrotem do Ursusa?

– Życie niesie takiej niespodzianki. Rzeczywiście jako członek rady nadzorczej spółki Warfama optowałem za odrodzeniem marki Ursus, gdy Warfama Ursus kupiła. Dzisiaj firma produkuje w Lublinie traktory dla Afryki pod marką Ursusa. Daje pracę kilkuset osobom, ale nie ma już szans na takie zatrudnienie jak w przeszłości. Pracują jednak dla niej polscy inżynierowie, marka Ursus powraca.

Zbigniew Janas (ur. 1953) był przywódcą „Solidarności” w Ursusie i jednym z najważniejszych działaczy podziemia w okresie delegalizacji Związku. W wolnej Polsce przez 12 lat sprawował mandat poselski (1989-2001) w klubach OKP, Unii Demokratycznej i Unii Wolności.

ROZMAWIAŁ ŁUKASZ PERZYNA

Mówiłem wtedy: komuna jest jak kobyła!

Rozmowa z

Gabrielem Janowskim

– W czerwcu 1989 r. wielu Panu kolegom przyszło kandydować z okręgów wyborczych prawie im nieznanymi, tymczasem Pan – symbolicznie, ale i całkiem dosłownie – powrócił jako kandydat na senatora w pierwszych demokratycznych wyborach do Sejmiku, w których w grudniu 1981 r. wspierał Pan strajkujących rolników?

– Nie były to wybory demokratyczne, tylko umówione pomiędzy stronami, na zasadach nierównoprawnych. Stanowiło to ich podstawową skazę. Dlatego, chociaż miałem propozycję z sześciu województw, w tym ze stołecznego warszawskiego, gdzie mieszkam, żebym kandydował do Sejmu – odmówiłem kolegom. Na końcu uległem propozycji, którą złożyła mi delegacja z ówczesnego województwa siedleckiego, żebym startował do Senatu. Ostatecznie się zgodziłem, uznając, że do Senatu te wybory są bardziej demokratyczne, bo tam nie było ograniczeń...

– ...inaczej niż do Sejmu, gdzie istniała pula miejsc „koalicyjno-rządowych” żadnych mandatów dla nikogo nie zarezerwowano, wszystkie podlegały wolnej grze wyborczej.

– W okręgu siedleckim moim kontrkandydatem był m.in. Mieczysław Wilczek, ówczesny minister w rządzie Mieczysława Rakowskiego. Niedawno zmarły, został zapamiętany jako twórca ustawy o gospodarowaniu, tzw. ustawy Wilczka, która rzeczywiście była ustawą zwężającą, znoszącą wiele ograniczeń, otwierającą wrota ku wolności gospodarczej. Uruchamiała gwarancje dla przedsiębiorczości Polaków. Pamiętam, że Wilczek był bardzo zawiedziony tym, że pokonałem go w tamtych wyborach. Jeszcze w grudniu 2013 r., podczas sympozjum poświęconego Jego ustawie, zorganizowanego przez Instytut Adama Smitha, a była to nasza ostatnia rozmowa, przypomniał mi sukces i własną porażkę z czerwca 1989 r.

– Chociaż uzyskał całkiem dobry wynik, 27 proc, tyle że Pan zdobył ponad 60 proc głosów...

– Wilczka poznałem bliżej podczas obrad Okrągłego Stołu, gdy uczestniczyliśmy w rozmowach przy stoliku gospodarczym. Opowiadał, jak pięknie będzie w przyszłym świecie, kiedy wszyscy będą bogaci. W czasie tej dyskusji powiedziałem: wie Pan, zanim ludzie powiedzieli przez tę rzekę na drugi brzeg obfitości, o którym Pan mówi, wielu z nich się potopi. Uważałem, że trzeba prowadzić akcję informacyjną, bo za mało było dialogu ze społeczeństwem, jakie warunki obowiązować będą w ustroju kapitalistycznym, do którego właśnie wracaliśmy. My, środowisko rolnicze, posłaliśmy wtedy na rozmowy bardzo dobrze przygotowanych, bo już w 1983 r. w duszpasterstwie rolników zaczęliśmy wielką akcję edukacyjno-wychowawczą. Później, w latach 1986/87 byłem inicjatorem Warszawskiego Towarzystwa Gospodarczego. Do współdziałania zaprosiłem Stefana Kisielewskiego, Ryszarda Bugaję, Aleksandra Paszyńskiego i innych. Zaś w środowisku rolniczym organizowałem seminaria w Magdalence pod Warszawą, tej słynnej z dogadywania się w ośrodku MSW, tyle



że my oczywiście spotykaliśmy się nie tam, tylko u sióstr, dzięki życzliwości ks. Bijaka. Trzy osoby zostały do rozmów wydelegowane przez Tymczasową Radę Rolników, która ujawniła się wcześniej niż „S” pracownicza: w kolejności głosów wybrano mnie, Józefa Ślisza i Artura Balazsa. Uczestniczyli też inni nasi reprezentanci. Gdy Okrągły Stół miał się zacząć, na przełomie 1988/89 prowadziliśmy intensywną pracę, jaki ustrój wyłoni się z tych rozmów, jak powinna funkcjonować gospodarka. Krótko mówiąc: przygotowaliśmy ludzi do wolnej Polski. Mówiłem jednoznacznie, że gospodarka nakazowo-rozdzielcza i autorytarne państwo muszą zostać jednoznacznie odrzucone. W gospodarce należy ustanowić ład oparty na wolności, na swobodzie zrzeszania się obywateli. Własność ma być różnorodna. Co ciękawie, Komitet Obywatelski...

– ...przy Lechu Wałęsie...

– Nie byłem akurat tej nazwy entuzjastą, nie podobało mi się to „przy” sprzeczne trochę z tradycją 10-milionowej „S”, w której wszystkie funkcje były wybieralne. Ale wtedy to było jedyne, co przemawiało do wyobraźni. Byłem samymi wyborami Komitetu przedstawiał program, przygotowany przez grupę Jacka Kuronia. W pierwszej wersji programu w ogóle nie wspomniano o własności prywatnej. Mówiono o własności spółdzielczej, pracowniczej. Domagałem się, żeby zaznaczyć, że własność prywatna stanie się ważnym elementem ustroju, który kształtujemy. Poparły mnie dwie osoby z Komitetu: Olgierd Baehr z Poznania i Aleksander Paszyński, który później został ministrem budownictwa. Ostatecznie to sformułowanie w programie uwzględniono. Coraz bardziej uświadamiałem sobie, jak mało ludzi wyobraża sobie, co zdarzy się wkrótce. Pamiętam spotkanie w trakcie Okrągłego

Stołu w kościele na Deotymy u ks. Sikorskiego, gdzie przygotowano różne koncepcje, z udziałem między innymi Mazowieckiego, Geremka, Wujca. I nagle Janusz Onyszkiewicz mnie pyta: słuchaj, czy ludzie w ogóle poprą „Solidarność” w tych wyborach? Uspokoilem go, że tak. Niewiara jednak powracała.

– Pan jej nie podzielał?

– Niepokoiło mnie, że politycy z miasta nie dostrzegali wsi jako części społeczeństwa ani rolnictwa jako ważnej dziedziny gospodarki narodowej. W trakcie dyskusji nad jednym z programów powiedziałem, że jedynym tu elementem wiejskim jest... Andrzej Wielowieyski, który był współautorem programu. Żartowałem oczywiście, ale na pewno dzięki stałym bezpośrednim kontaktom z rolnikami, z wyborcami z Siedleckiego, miałem bez porównania lepsze rozeznanie nastrojów. Środowisko rolnicze było lepiej przygotowane pod tym względem, jak ma to w przyszłości wyglądać. Jednak propozycje przy stoliku rolniczym, pełnego urynkowania, były nie do końca roztropne, dlatego, że wolny rynek w rolnictwie nie istniał ani we Wspólnocie Europejskiej ani w Stanach Zjednoczonych, bo bardzo liberalni Amerykanie utrzymali ceny minimalne na niektóre produkty rolne. Rozumieli wagę rolnictwa. W USA rozwinęła się spółdzielczość, dająca farmerom gwarancje i pozycję na rynku, a u nas za komunę wypaczona, a w nowym porządku zupełnie nie doceniana. Votum separatum do programu rolnego zgłosił Piotr Dąbrowski.

– Czy Pana powrót do Siedlec się udał, a kampania przebiegała jak należy?

– Zaczął Pan od przypomnienia roli, jaką odegrałem w 1981 r. w siedleckim proteście rolników. Rzeczywiście czułem się mocno związany z tym regionem.

Moją przewagą nad wieloma politykami pozostawało to, że od początku byłem wśród ludzi, zakładając „Solidarność” Rolników. Dzięki temu wiedziałem, co w polskiej duszy gra. Nie czuli tego politykujący w warszawskim salonie. W kampanii w 1989 r. bardzo dużo jeździłem po okręgu. Pamiętam, jak na jednym ze spotkań obrazowo mówiłem do ludzi, że komuna jest jak stara kobyła – niby już padła, a jeszcze może kopnąć. Ktoś mi niedawno przypomniał tamten żart i zauważył, że coś podobnego później się dokonało. Z kolei w czasie debaty z Wilczkiem zademonstrowałem jemu i publiczności dziurę w bucie: to był produkt socjalistycznego przemysłu. Przecież od 1985 r. powtarzałem, że za 3-5 lat komuna padnie. Kolegę z SGGW zapewnilem, że kiedy to nastąpi, będzie mógł założyć prywatne przedsiębiorstwo albo nawet uczelnię. I rzeczywiście – już jako profesor stworzył dużą firmę handlową. A wtedy jeszcze się dopytywał: – A co się stanie z milicją? A ja mu odpowiadałem: – Będzie policja. Pięć lat po naszej rozmowie, nie minął jeszcze rok od wyborów czerwcowych, a już... przemalowano radiowozy.. Jednak gdy w kilka miesięcy po czerwcowych wyborach na zebraniu Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego pojawił się jako gość Jeffrey Sachs i wypytany przez wpatrzonych w niego posłów i senatorów o pożądaną tempo reform, tłumaczył, że psu nie obcina się ogona po kawałku, tylko od razu jednym cięciem – dla mnie przedstawienie jego koncepcji reform było dowodem na nieznaną polskim realiów i że to co on proponuje przyniesie więcej szkód niż pożytku i nie przystaje do oczekiwań ludzi ani realiów.

– Po zwycięstwie nie było czasu na odpoczynek?

– Po wyborach intensywnie włączyłem się w sprawy gospodarki, organizując już w sierpniu 1989 r. pierwszą debatę o rolnictwie w Senacie. Nie było to przypadkowe: dzisiaj już się nie pamięta, ale to sytuacja w rolnictwie zmusiła tamtą stronę do podjęcia rozmów okrągłostołowych. Pojawił się dramatyczny kryzys jeśli chodzi o zaopatrzenie w żywność i było wiadomo, że ludzie nie będą tego tolerowali. Nie doszłoby do rozmów, gdyby władza była w stanie zapewnić obfitość podstawowych produktów na rynku. Podjęte próby urynkowania przez ówczesnego wicepremiera Olesiaka były przejawem rozumowania komunistów, że z takim stanem rzeczy daleko nie pociągną. Okrągły Stół to z jednej strony była zmowa elit, ale i konfrontacja poglądów ustrojowych. Mocno byłem zawiedziony, że strona „solidarnościowa” kładła silny akcent na te wszystkie indeksacje, ale nie rozumiała potrzeby silnego otwarcia na inicjatywę, przedsiębiorczość i potrzebę upowszechnienia własności wśród Polaków, choćby przez akcjonariat pracowniczy. Dlatego po wyborach 1989 r. znów zaangażowałem się w sprawy gospodarcze, nawet własnym sumptem wydawałem biuletyn, umożliwiający przedsiębiorcom nawiązywanie kontaktów, odnajdywanie się w nowej rzeczywistości.

Gabriel Janowski (ur. 1947) w Marcu 1968 organizował opozycyjne wystąpienia studentów SGGW. Doktor nauk rolniczych. W latach 1980-81 współtworzył „Solidarność” Rolników Indywidualnych. W stanie wojennym internowany, potem wielokrotnie represjonowany. Wspierał strajki górników w 1988 r. Przewodniczył NSZZ RI „Solidarność”. W wolnej Polsce był ministrem rolnictwa (1991-93), senatorem (1989-91) i posłem (1991-93 oraz 1997-2005).

Rozmowa z Markiem Jurkiem

– Skąd wziął się pomysł Pana kandydowania z województwa leszczyńskiego w czerwcowych wyborach 1989 r., przecież był Pan związany raczej z Poznaniem, gdzie działał Pan w NZS i Ruchu Młodej Polski?

– Zaprosiła mnie do tego, żebym kandydował na posła z Leszczyńskiego „Solidarność” z tamtego regionu, na wniosek kolegów z Poznania.

– Leszno to był wtedy trudny okręg.

– Jeden z trudniejszych. Pamięta Pan, jak tylko w ośmiu z 49 województw jakie wtedy istniały, kandydaci do Senatu musieli stawać do drugiej tury, a późniejszy senatorowie z Leszczyńskiego Antoni Żurawski i Stanisław Hoffmann znaleźli się w tej właśnie grupie, która mandat uzyskała dopiero w ponownym głosowaniu. Natomiast ja zostałem wybrany do Sejmu w pierwszej turze, uzyskałem w swoim okręgu 52,9 proc głosów.

– Leszczyńskie uchodziło za teren niełatwy, bo wedle statystyk pod koniec PRL pozostawało czwartym pod względem zamożności z 49 województw, a wielkiej opozycji tam nie było?

– Wysoko cenię ówczesnego przewodniczącego Regionu Leszno „Solidarność” Eugeniusza Matyjasza. Oceniając działalność opozycyjną przed 1989 r. warto pamiętać, że

Przemawiałem z ciężarówki

w mniejszych ośrodkach na prowincji zwykle było bez porównania trudniej ją prowadzić. Szybko znalazłem wspólny język z leszczyńską „Solidarnością”, regionalni działacze reprezentowali poglądy bliskie moim, chrześcijańsko-narodowe. Oparciem dla nas wszystkich pozostawało sanktuarium maryjne w Gostyniu.

– Co z tamtej kampanii zapamiętał Pan najlepiej?

– Największym przeżyciem stał się dla mnie koncert Jacka Kowalskiego podczas spotkania przedwyborczego na rynku w Kościanie. Specjalnie dla jego uczestników bard i historyk sztuki z Uniwersytetu Adama Mickiewicza Jacek Kowalski wykonał wtedy „Psalm rodowodowy” – hymn na cześć historii. Tak to wtedy odbieraliśmy. Mocno zapamiętałem również wieczorny wiec przedwyborczy w Lesznie, podczas którego przemawiałem z ciężarówki. Również debatę w Górze, w amfiteatrze. Kampania stała się świętem wolności. Po raz pierwszy przecież, poza 16 miesiącami legalnego działania „Solidarność” i oczywiście pielgrzymkami papie-



Fot. FB/marekjurek

skimi swobodnie odbywały się masowe zgromadzenia Polaków.

– Wspomnił Pan Marszałek o debatach. Czy zapamiętał Pan któregoś z kontrkandydatów do Sejmu, choćby Henryka Chrapka

z ZSMP który uzyskał wtedy nieco powyżej 10 proc i w wyborach zajął drugie miejsce po Panu?

– Nie, jego zupełnie nie zapamiętałem. W jednej z debat po drugiej stronie wyróżniał się raczej przedstawiciel Stronnictwa Demokratycznego, późniejszy wiceprezydent Leszna. Dla nas najważniejsze pozostawało to, jak przyjmują nas ludzie.

– O co wyborcy pytali?

– Chcieli poznać dalszą perspektywę. Ci ludzie, którzy przychodzili, cieszyli się, że mamy szansę wygrać, a opozycja skupiła się wokół „Solidarność” i może walczyć o niezależność.

– I co im Pan obiecywał?

– ...że będziemy walczyć o wolność – bo był to jeszcze moment, kiedy tę walkę trzeba było jeszcze kontynuować. O odzyskiwanie państwa i Polski chrześcijańskiej. Zobowiązałem się również, że będziemy starali się powstrzymać proces uwłaszczenia nomenklatury komunistycznej na majątku narodowym, który wówczas już od pewnego czasu trwał.

– Gdzie zastała Pana wiadomość o zwycięskim wyniku?

– Wieczorem 4 czerwca pamiętam napływające stopniowo wiadomości. Byłem w Lesznie. Pewność sukcesu narastała w nas stopniowo, jeszcze przed wyborami, pod wpływem spotkań z ludźmi i wrażeniem ich nastroju. Zaraz zaczęliśmy zagospodarowywać ten sukces, szykować się na wyjazd do Warszawy. Wybieraliśmy się już przecież na pierwsze posiedzenie Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Odbędzie się ono w Auditorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego. Do Sejmu nas przecież jeszcze nie wpuszczano.

Marek Jurek (ur. 1960) działał w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów oraz Ruchu Młodej Polski, ukrywał się po wprowadzeniu stanu wojennego. W wolnej Polsce był Marszałkiem Sejmu (2005-7) – stracił funkcję, gdy opowiedział się za całkowitą ochroną życia poczętego, wbrew Jarosławowi Kaczyńskiemu. Przewodniczył Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji (1995) i zasiadał w tym gremium do 2001 r, wielokrotnie przeciwstawiając się samowoli ówczesnego prezesa TVP Roberta Kwiatkowskiego. Mandat poselski sprawował w latach 1989-1993 oraz 2001-7. W wyborach prezydenckich 2010 r. zajął ósme miejsce.

Ostatnia zatrzymana przez cenzurę piosenka była moja

Rozmowa z

Andrzejem Rosiewiczem

– Jak to się stało, że zaczął Pan śpiewać dla ludzi „Solidarność”?

– Najpierw w PRL śpiewałem w latach 1970-78 z Asocjacją Hagaw. Zespół powstał w 1964 r. – gdy Gomulka zezwolił, że jednak wolno grać jazz – akurat obchodzimy jego pięćdziesięciolecie. Dołączyłem do nich w 1970 r, śpiewaliśmy jazzowe utwory, rozrywkowe, pogodne, z nurtu happy jazz, czasem o tematyce obyczajowej. O polityce – zero. Latem 1980 r. występowałem akurat w Sopocie, gdy trwał strajk w Stoczni Gdańskiej. Pojechałem więc zobaczyć tłum strajkujących, zapamiętałem w środku wielki ołtarz z księdzem Jankowskim, który później został kapelanem „Solidarność”, gdy dzięki zwycięstwu strajkujących powstał już niezależny i samorządny związek zawodowy. Poprzednio pisałem piosenki rozrywkowe, lekkie. Gdy nastąpił wielki zryw „Solidarność”, pomyślałem, że warto się do niego w jakiś sposób ustosunkować. Miałem sporo czasu na przemyślenia, ponieważ akurat zachorowałem i na długo znalazłem się w szpitalu, potem w sanatorium. Słowem powszechnie używanym pozostawała wówczas „propaganda sukcesu”.

– Tak w latach 1980-81 określano „poprzednią epokę”, podobnie jak w 1956 mówiono o „okresie błędów i wypaczeń”.

– Przed 1980 rządzący zapewniali, że budują szczęśliwość powszechną, prawdziwy raj na ziemi. Okazało się po latach, że wcale nie jest tak wesoło, jak obiecywali. Wprawdzie system miał swoje zalety, dzięki którym ludzie tak długo go znosili: wszyscy mieli pracę, służba zdrowia i szkolnictwo pozostawały darmowe, ale towarzyszyła temu cenzura i brak swobody wyjazdów za granicę. Państwo gwarantowało tylko minimalny poziom ży-



cia, faktycznie rozdzielało biedę. Powodem strajku w Gdańsku stały się zarówno wprowadzone przez władzę podwyżki, jak zwolnienie z pracy Anny Walentynowicz, w obronie której wystąpiła załoga Stoczni. Pod wrażeniem tych wydarzeń i własnego pobytu na Wybrzeżu napisałem już później, w szpitalu piosenkę „Propaganda sukcesu”. A tak- że druga; „Wincenty Kalemba czyli pieśń o zachodnich bankierach”. Pamiętamy, że za sprawą zaciąganych przez Gierka długów społeczeństwo mogło żyć trochę lepiej, ale w 1980 r. ogłoszono, że wszyscy będziemy musieli te zobowiązania spłacać. Trzecia moja wtedy powstała piosenka, związana z aktualnymi wydarzeniami nosi tytuł „Piosenka o prawdzie”, a powtarzają się w niej słowa „prawdy jako chleba”.

– Czy zmiana podejmowanej przez Pana tematyki kogoś zaskoczyła?

– Ponieważ wcześniej powszechnie byłem odbierany jako „rozrykowiec” – prasa dostrzegła wtedy nawet, że oto pokazała się „inna twarz Rosiewicza”. Nagle pokazałem twarz Stańczyka, który wciąż potrząsa

dzwoneczkami, ale stawia też trudne pytania.

– Jak Pana publiczność odbierała te aktualne utwory?

– Doskonale pamiętam z lat 80 wielki koncert Big Warsaw Band, zorganizowany na wolnym powietrzu przez „Solidarność” FSO. Ludzie reagowali żywiołowo. Siedziała starsza pani w pierwszym rzędzie, słuchała, jak śpiewam „prawdy jako chleba” i bardzo się śmiała. To nie była zwykła publiczność z koncertowych sal, zapewne rozśmieszyło ją skojarzenie mojego songu z pieśnią kościelną, poważną, „Kto się w opiekę odda Panu swemu”, do której nawiązywałem.

– Jednym słowem: ludzie „Solidarność” reagowali wtedy szczególnie żywo?

– Zwłaszcza, gdy śpiewałem „Propaganda sukcesu”. Powtarzałem, że trzeba mieć talent psychologa społecznego, żeby przewidzieć, w którym miejscu ludzie będą się śmiali i jak często. Zupełnie inaczej, niż na komisariacie milicji, gdy zdarzało mi się opowiedzieć dowcip i – zwłaszcza, jeśli był trochę abstrakcyjny – nagle zapadała głucha cisza.

– Czy w 1989 r, w przededniu wyborów czerwcowych powrócił tamten nastroj karnawału 1980-81? Wielu komentatorów podkreśla, że to już nie była dawna „Solidarność” z 10 milionami członków?

– Nie analizowałem tego aż tak dokładnie, być może pojęcie słomianego ognia przyda się tu jako klucze- wa. Robotnicy walczyli o swoje postulaty, zwyciężyli. Aktywnych, zaangażowanych działaczy było mniej, poczuli się zadowoleni, że wygrali. Wybory z 4 czerwca 1989 r. odbyły się bez takiego entuzjazmu, jaki zapamiętaliśmy z 1980 r. Duża fala ma to do siebie, że opada. Być może Polacy wolą walki frontowe, a tu zaczęło się od ugody, pojednania przy okrągłym stole, picia wódki z dotychczasową władzą, czym niektórzy poczu- li się dowartościowani. Redaktor o imieniu Adam nazwał w końcu Jaruzelskiego i Kiszcza ludźmi honoru. Gdy wiele lat wcześniej generałowie wprowadzali stan wojenny, artyści ogłosili bojkot i występowali po kościołach, postawiłem sprawę jasno: występować mogę tylko z tymi samymi piosenkami, które śpiewa-

łem przed 13 grudnia. Gdy jedna z nich zatrzymano – zwróciłem się do posła Czeszejki-Sochackiego, który był również prezesem Zrzeszenia Prawników Polskich. Dzień po mojej z nim rozmowie zadzwonił do mnie cenzor: – Panie Andrzeju, może już Pan to śpiewać. Wyrażnie zadowolony, ucieszony nawet, bo przecież zakazanie piosenki, o którym mi wcześniej zakomunikował nie było jego osobistą decyzją.

– Czy rok 1989 różnił się wyraźnie od poprzednich polskich przełomów?

– 1989 r. to już czas, gdy system się wali. Towarzysze oddają część władzy, ale obmyśliли to tak, żeby włos im z głowy nie spadł.

– Czy kłopoty z cenzurą się kończą?

– Nie, co więcej – to moja piosenka okazała się ostatnią, jaką cenzura jeszcze zatrzymała. Zaśpiewałem „Pierestrojkę od nowa”, druga część „Michail, Michail”, o tym, że jak się nie uda, to nas razem z Gorbaczowem wysła na Syberię. Zatrzymała to cenzura, podobnie jak inny mój song: „Oddałem książeczkę wojskową”. Ale to już był przełom 1988/89 i mój kolega, prawnik Andrzej Lewandowski doradził mi, aby decyzję cenzury zaskarżyć do sądu.

– Wyrok pewnie zapadł... salomony?

– Sąd stwierdził wprawdzie, wbrew wcześniejszej decyzji GUKP-PiW, że „Książeczka wojskowa” nie zagraża bezpieczeństwu państwa, ale konsekwentnie zatrzymano „Pierestrojkę od nowa”. Uznano, że zachęca do separatystycznych dążeń republiki radzieckiej, ponieważ w tekście rzeczywiście była mowa, że Gruzja chce być królestwem. To właśnie ta w ogóle ostatnia piosenka, jaką cenzura zatrzymała. Może warto przy jej dawnym gmachu na Mysiej umieścić tablicę z tekstem piosenki. Popiera Pan ten pomysł?

– Oczywiście, że tak, bo to historyczny tekst: ostatni, zatrzymany przez GUKP-PiW.

– Rok 1989 to piękne czasy obywatelskiej wolności po okresie zniewolenia. Wcześniej, w stanie wojennym i kolejnych latach mocno tę petlę zaciągnięto. Moje piosenki odtwarzano w miejscach i okolicznościach, które mnie samego zaskakiwały. Piosenkę o zachodnich bankierach z refrenem „graj, Cyganie, graj” puszcza- no na dancingach w całej Polsce i na weselach, chociaż wydawało się, że „polityczne” zwrotki nie powinny temu sprzyjać. Ale ludzie chcieli jej słuchać i właśnie przy niej się bawić w ciężkich czasach. Trzeba też pamiętać, że w PRL na bilety dla zakładów pracy przysługiwały specjalne dopłaty, przez co sale na koncerty – również Kongresową – paradoksalnie łatwiej było wypełnić, niż teraz w kapitalizmie, gdy dopłaty zlikwidowano. Jednak do dziś najmocniej pamiętam tamten występ z FSO, dla „Solidarność”. Zaś z 4 czerwca 1989 r. taką scenę. Idziemy z moją sympatią spacer- kiem przez Żoliborz. I widzimy na ścianie świeży plakat z Garym Cooperem z filmu „W samo południe”. Przystojny, ze znacznikiem „Solidarność”. Powiedziałem coś w tym stylu, że wygląda super na tym plakacie. A koleżanka na to do mnie: – Wolę ciebie. Widzi Pan, jaki wtedy byłem.

Andrzej Rosiewicz (ur. 1944) jest jednym z najlepiej rozpoznawalnych polskich artystów. Piosenkarz estradowy, kompozytor i satyryk zasłynął przebojami „Najwięcej witaminy” i „Czy lubi pani czuć”. Występował na festiwalach w Opolu i Sopocie. W latach 80 powszechną popularność zyskali jego „Chłopcy radarowcy”. Jego piosenki – gdy ich rozpowszechnianie zakazywała cenzura – krążyły na kasetach.

ROZMAWIAŁ ŁUKASZ PERZYNA

ekologiczna *dolina*



GODZ. 12.00, 28 CZERWCA

ŁAZISKA 2014

pow. sochaczewski, gm. Iłów

Zdrowa żywność
i produkty regionalne

Degustacja
miodów, serów,
pieczywa, wędlin,
owoców, przetworów
i wielu innych przysmaków

Wstęp wolny

Serdecznie zapraszamy!



O imprezie Eko Dolina

Z miłości do natury i szacunku dla ekologii, powstał w 2012 roku projekt Ekologiczna Dolina poświęcony promowaniu życia blisko naszego naturalnego środowiska.

Celem organizowanej imprezy pleneryjnej jest promocja ekologicznego odżywiania, ekologicznych i tradycyjnych produktów spożywczych produkowanych przez drobnych producentów rolnych.

Podczas imprezy szczególne przywileje mają producenci wyrobów ekologicznych i regionalnych takich jak: miody, sery, wędliny, pieczywo, przetwory i inne produkty wyrobione według tradycyjnych receptur.

Imprezie towarzyszy wiele dodatkowych atrakcji, m.in. koncerty, grill, jazda konna, pokazy motolotniarzy, animacje dla najmłodszych, dmuchańce, prelekcje z tematyki ekologii.

Podczas Ekologicznej Doliny w 2012 i 2013 roku odwiedziło nas około 4 tys. gości.

Mariusz Ambroziak

Organizatorzy:

ekologiczna dolina

Współorganizatorzy:

Wspólnota Samorządowa Mazowiecka

Stowarzyszenie Na rzecz Rozwoju Ziemi Kłobuckiej

Mapa dojazdu:

www.eko-dolina.pl

www.facebook.com/ekologiczna.dolina

Mazowiecka Wspólnota Samorządowa przyjęła program działania na następne lata, zawierający m. in. propozycje budowania sektora Energetyki Obywatelskiej, wykorzystujące możliwości jakie stwarza nam nowa perspektywa finansowa na lata 2014 – 2020 UE, dająca szansę – wzorem samorządów zachodnich państw europejskich, głównie Niemców, na przejęcie przez obywateli całkowitego wpływu nad kosztami zużywanej przez mieszkańców gmin energii.

Chcemy informować jednostki samorządu terytorialnego (JST) o bieżących możliwościach uzyskiwania środków krajowych i unijnych na rozwój naszych małych Ojczyzn, głównie dlatego, żeby „podarunki finansowe” nie szły tylko kanałem partyjnym – partii parlamentarnych, które dzięki temu zyskują przewagę wyborczą w wyborach samorządowych.

Od 26 maja br. ruszył nabór wniosków do programu „Prosument 4a” dla zainteresowanych samorządów lokalnych. To one dokonują wyboru obiektów do montażu instalacji na podstawie zgłoszeń od osób fizycznych posiadających prawo do dysponowania budynkiem mieszkalnym jednorodzinnym oraz wspólnot lub spółdzielni mieszkaniowych zarządzających budynkami wielorodzinnymi.



o bieżących możliwościach uzyskiwania środków krajowych i unijnych na rozwój naszych małych Ojczyzn, głównie dlatego, żeby „podarunki finansowe” nie szły tylko kanałem partyjnym – partii parlamentarnych, które dzięki temu zyskują przewagę wyborczą w wyborach samorządowych.

Ale co to jest program Prosument?

Samo słowo „Prosument” powstało z połączenia dwóch innych słów: produkcja i konsument. Znaczący ono produkcję na własny użytek – produkuje i konsumuje. W tym przypadku słowo „Prosument” dotyczy produkcji i konsumpcji energii ze źródeł odnawialnych: słońca, wiatru, wody lub ziemi, a także z biomasy i rozwiązań kogeneracyjnych OZE.

Dofinansowanie w programie Prosument, które w 100% pokrywa koszty kwalifikowane instalacji produkujących energię elektryczną i ciepłą na potrzeby własne osób fizycznych, wspólnot i spółdzielni mieszkaniowych, może być udzielane zainteresowanym poprzez samorządy oferujące pomoc swoim mieszkańcom.

Samorząd składający wniosek na zebrane wcześniej inwestycje musi posiadać wstępne umowy, określające m.in. warunki realizacji, finansowania, udostępniania nieruchomości, eksploatacji inwe-

stycji oraz kontroli. Minimalna kwota wniosku wynosi 1 mln zł, dla jednej JST. Można je składać w trybie ciągłym, aż do wyczerpania środków, jednakże nie później niż do 2015 roku.

Fundusz, będzie przyjmował wnioski w wersji elektronicznej za pośrednictwem Generators Wniosków o Dofinansowanie (GWD). Wsparciem publicznym objęte są zakupy i montaż 6 rodzajów instalacji wykorzystujących odnawialne źródła energii do produkcji energii elektrycznej oraz ciepła i energii elektrycznej na po-

trzeby istniejących lub budowanych budynków mieszkalnych. To kolektory słoneczne, małe wiatraki, panele fotowoltaiczne, pompy ciepła, małe biogazownie, piece na biomase i układy mikro kogeneracyjne. Zależnie od rodzaju instalacji, NFOŚiGW oferuje dotacje w wysokości od 20-40% dofinansowania oraz pożyczki oprocentowane na 1% w skali roku na pozostałe koszty kwalifikowane.

Współpraca przyszłych inwestorów z zainteresowanymi samorządami to pierwsza spośród trzech zaplanowanych możliwości pozyskania funduszy na produkcję energii z OZE. W przyszłości klienci indywidualni, wspólnoty i spółdzielnie mieszkaniowe mogą ubiegać się o dofinansowanie w ramach Prosumenta, także poprzez wojewódzkie fundusze ochrony środowiska i gospodarki wodnej oraz banki współpracujące z NFOŚiGW. Takie możliwości zostaną uruchomione w II półroczu br.

Prosument to program, który ma także na celu podniesienie świadomości inwestorskiej i ekologicznej przedsiębiorców i obywateli. Kupując i instalując jedno lub kilka urządzeń wykorzystujących energię ze źródeł odnawialnych, przyszli producenci energii zaoszczędzą na rachunkach, a nadwyżkę energii elektrycznej będą mogli sprzedawać do sieci. Dzisiaj jej bez-

pośrednią sprzedaż umożliwiają zapisy regulacyjne tzw. małego trójpaku energetycznego. Wcześniej produkcja rynkowa energii uzależniona była od obowiązku prowadzenia działalności gospodarczej. NFOŚiGW uruchamiając ten program, na który łącznie przeznaczył 600 milionów złotych, wspiera także rozwój rynku dostawców urządzeń i instalatorów oraz liczy na zwiększenie liczby miejsc pracy w tym sektorze. Tak bowiem stało się z krajowym rynkiem kolektorów słonecznych, który w ostatnich latach wsparty 45% dopłatami NFOŚiGW, pod względem sprzedaży znalazł się w czołówce europejskich państw.

Mazowiecka Wspólnota Samorządowa służy zainteresowanym samorządom lokalnym radą i wsparciem, w sytuacji powstania potrzeby konsultacji i pomocy w realizacji akcji zbierania wniosków mieszkańców i aplikowania do NFOŚiGW o sfinansowanie inwestycji w darmową energię dla mieszkańców gminy. – Czas goni...

Kto pierwszy ten lepszy! – A środki finansowe ograniczone. – Czy chcecie, by całą pulę dotacji zgarnęły samorządy koalicji rządzącej???

KONSULTACJI UDZIELA JANUSZ ŚCISKALSKI, WICE PREZES MWS.

E-MAIL: JANUSZ.SCISKALSKI@DORIZA.PL;
TEL. 501-034-954.



WARSZAWSKA WSPÓLNOTA SAMORZĄDOWA

Warszawiacy szukają alternatywy. Nie staną się nią ani PiS, ani SLD, tylko obywatelskie komitety. To my jesteśmy naturalną reprezentacją warszawiaków – podkreślił Piotr Guział, kandydat na prezydenta stolicy Warszawskiej Wspólnoty Samorządowej.

Naszą partią jest Warszawa, a szefami warszawiacy – zapewnił Guział w trakcie prezentacji programu Warszawskiej Wspólnoty Samorządowej.

Piotr Guział nie ukrywa, że jego celem pozostaje wygranie wyborów prezydenckich, jak realistycznie ocenia, w drugiej turze, zaś zamiarem Warszawskiej Wspólnoty Samorządowej – współzrządzenie w stolicy i wszystkich jej dzielnicach.

Z kim? Guział nie wyklucza koalicji ani z PO ani z PiS. Zarówno kandydat jak wspierająca go wspólnota gotowi są współdziałać z formacjami, uznającymi potrzebę „skoku cywilizacyjnego”, na który czeka Warszawa. Dziś, bowiem rządzący pozostają „partią analogową”,

Dosyć władzy analogowej



podczas gdy rzeczywistość wymaga już... rozwiązań cyfrowych. Tymczasem w Warszawie etatów urzędników w stosunku do liczby mieszkańców opłacamy o jedną trzecią więcej niż średnio w kraju. Miasto łąta dziurę budżetową

sprzedając kamienice, chociaż celem władzy lokalnej nie jest handel nieruchomościami, tylko zaspokajanie potrzeb mieszkańców.

Guział obiecuje, że jeśli wygra wybory – poskromi rozrost biurokracji, przekazu-

jąc urzędnicze kompetencje „w dół”, do dzielnic.

Warszawa dziś nie przoduje w żadnej dziedzinie, ale – jak obiecuje Piotr Guział – może odegrać taką rolę w sferze innowacyjnej gospodarki i edukacji. Wymaga to

jednak inicjatywy władz lokalnych, żeby w stolicy zatrzymać „gorące umysły” i ścignąć tu naukowców z innych stron, a także zachęcić zdolnych studentów korzystnymi rozwiązaniami socjalnymi.

Projekt programu wyborczego Warszawskiej Wspólnoty Samorządowej obiecuje m.in. „urzędy przyjazne dla mieszkańców i przybyszy”, przekształcenie stolicy w „miasto ogrodów” a także uregulowanie sytuacji stołecznych nieruchomości i powszechną dostępność kultury.

– WWS proponuje rozwiązania i zachęca wszystkich do dyskusji. Chcemy zebrać jak najwięcej uwag do przygotowanego przez nas dokumentu i zaproponować konferencje na temat wizji Warszawy. W tym celu rozesłaliśmy nasz program do ponad 1000 organizacji społecznych działających w naszym mieście – zapowiada Maciej Bialecki szef zespołu programowego WWS.

Na konferencji prasowej była obecna pani Barbara Jezierska były Wojewódzki Konserwator Zabytków – jedna ze współauterek projektu programu WWS.

PROGRAM WWS DOSTĘPNY NA WWW.WWS.ORG.PL

Pierwsza rocznica warszawskiego referendum

22 maja minął rok od dnia, w którym Warszawska Wspólnota Samorządowa wystąpiła z inicjatywą zorganizowania referendum w sprawie odwołania Hanny Gronkiewicz-Waltz z funkcji Prezydenta m. st. Warszawy. W ciągu następnych 60 dni zebraliśmy ćwierć miliona podpisów mieszkańców Warszawy popierających odwołanie Hanny Gronkiewicz-Waltz. Była to największa akcja społeczna w powojennej historii miasta. Tego lata naprawdę uwolniliśmy energię Polaków – tak kiedyś brzmiało jedno z haseł Platformy Obywatelskiej.

Odmieniliśmy Warszawę. Dzięki referendum powstały i wzmocniły się ruchy miejskie, wcześniej w stolicy niemal niewidoczne. Ożywiła się opinia publiczna, powstały nowe inicjatywy społeczne i portale internetowe. Władze miasta muszą teraz liczyć się

z możliwością ujawnienia się obywatelskiego niezadowolenia. Dotychczas w Warszawie, rzekomo ze względu na jej wielkość, było to niewyobrażalne.

Wywalczyliśmy też dla Warszawy prezent od samego premiera Donalda Tuska: dokończenie południowej obwodnicy miasta. Prezent jest wart 9 mld zł – trzy tysiące razy więcej, niż wyniosły administracyjne koszty przeprowadzenia referendum.

Kampania referendalna miała – krótkotrwały – wpływ na jakość rządów Hanny Gronkiewicz-Waltz. Udało się powstrzymać niczym nieuzasadnione podwyżki cen komunikacji miejskiej oraz doprowadzić do obniżki opłaty za odbiór śmieci. Z ratusza odeszło kilku skompromitowanych urzędników, na czele z zastępcą prezydenta Jarosławem Kochania-kiem. Udało się zmusić panią prezydent do uruchomienia budżetu obywatelskiego.

Mamy nadzieję, że nasza tegoroczna praca w wyborach samorządowych utrwali te zmiany, odbierając Warszawę partiom politycznym i oddając ją mieszkańcom miasta.

PIOTR GUZIAŁ – LIDER WWS



Białoleka, moja mała Ojczyzna

Rozmowa z **Marcinem Wójcikiem**, jednym z liderów Warszawskiej Wspólnoty Samorządowej na Białolekę.

Paweł Dąbrowski – Dlaczego Białoleka?

Marcin Wójcik – Wraz z rodziną mieszkamy tutaj nieprzerwanie już 11 lat. Dziś wiem, że Białoleka, to moja mała Ojczyzna. Każdego dnia lubię tutaj wracać i cieszyć się, że jestem związany z tym miejscem. Jako student mieszkalem w kilku dzielnicach Warszawy. Każda miała swój urok i charakter. Pamiętam też, że Białoleka postrzegana była jako coś gorszego, absolutnie niemodnego. Mieszkańcy tej dzielnicy, byli w jakiś sposób napiętnowani. Tutaj przecież nikt nie chciał mieszkać. Także i mnie straszono tym miejscem. Postanowiłem jednak zaryzykować...

P. D. – Warto było? Jak z perspektywy czasu ocenia Pan ten wybór?

M. W. – Tak, było warto! Z całą rodziną czujemy się tu szczęśliwi. Najlepszą rekomendacją niech będzie fakt, że od przeszło dwóch lat mieszkamy w nowym mieszkaniu na Nowodworach. Zanim dokonaliśmy zakupu, nie zastanawialiśmy się gdzie tym razem będziemy mieszkali, bo to było oczywiste, tylko co kupimy i za ile. Wiedzieliśmy, że potrzebujemy większego mieszkania, bo i rodzina była coraz większa, ale nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że to będzie znów Białoleka. Ostatecznie nasza przeprowadzka miała charakter jedynie „sąsiedzki”, bo zamieszkaliśmy w bloku oddalonym o ok 300 metrów dalej, od osiedla, które opuściliśmy.

P. D. – Jak Pan scharakteryzuje to miejsce, ludzi i zmiany jakie dokonywały się na Białolece na przestrzeni tych lat?

M. W. – Białoleka jest różnorodna. Jest to dzielnica, która dopiero się tworzy mentalnie, urbanistycznie, ale w jakimś sensie także kulturowo. Dzielnice tę kształtują głównie ludzie przyjezdni, których na początku ze sobą w zasadzie nic nie łączy. Są to najczęściej osoby młode, które pochodzą z wielu różnych miejscowości, co widać chociażby po rejestracjach samochodowych, kibicując swoim lokalnym drużynom, póki co nie są tutaj jeszcze zakorzenieni, nie znają tego miejsca. Z czasem to się zmienia. To jest bowiem kwestia czasu, to jest proces, który wymaga dojrzałości poprzez związanie z tym miejscem. Tak też było i w moim przypadku. Dziś ważne



jest dla mnie jak się tutaj mieszka, ale też wiem jak chcę aby się mieszkało. Dziś już nie jest mi wszystko jedno, zależy mi bowiem na konkretnych rozwiązaniach, które mają pomóc i służyć dzielnicy oraz jej mieszkańcom. Podobnie jest z wieloma innymi osobami. Można rzec, że staliśmy się w pełni dojrzałymi i świadomymi mieszkańcami Białoleki. W najbliższym czasie, także będziemy starali się wziąć za to miejsce odpowiedzialność.

P. D. – A jak zmieniła się sama Białoleka? Kim są władarze tego miejsca?

M. W. – Sama dzielnica także się zmienia, choć wg mnie nie zawsze na lepsze i nie zawsze w stopniu wystarczającym. Na przestrzeni lat Białoleka zdecydowanie się rozbudowała. Od momentu kiedy się tu wprowadziłem, dzielnica urosła prawie dwukrotnie, licząc dziś sobie prawie 100 tys. mieszkańców. Ciekawostkę może stanowić też fakt, że jesteśmy dzielnicą o najwyższym przyroście naturalnym w Polsce. Nie mniej na Białolece brakuje wciąż ciekawej oferty kulturalnej i rekreacyjnej dla mieszkańców. Nie ma kina, nie ma żadnej sali rozrywkowo-widowiskowej, czy chociażby ładnego amfiteatru, nie mamy żadnego przyzwoitego stadionu, zapisanie dziecka do przedszkola publicznego graniczy z cudem, bo nie ma w nich miejsc. Choć budowane są nowe szkoły, to i tak wkrótce się przepełniają, a w rankingach

szkół warszawskich zajmują końcowe lokaty. Brakuje jakiegokolwiek spójnej refleksji nad poprawą estetyki głównych arterii Białoleki. Jak grzyby po deszczu powstają kolejne kontenery z dyskontami spożywczymi. Dziś planowana rozbudowa np. ul. Światowida zamyka właściwie wszelką dyskusję nad planami stworzenia z tej ulicy pasażu pieszo-kolejowego, który stałby się salonem Nowodworów. Zamiast tego będziemy mieli drogę szybkiego ruchu. Mało kto z Państwa pewnie wie, że to na Białolece właśnie tworzy się „Park Miniatur Mazowsza”, w którym powstają makietki najpiękniejszych zabytków Warszawy i całego Mazowsza. Dlaczego taki Park nie mógłby znaleźć swojego miejsca u nas na stałe? Projektem interesują się inne dzielnice, ale nie Białoleka. Dlatego Białoleka nadal kojarzyć się będzie z więzieniem, a nie miejscem spotkań, kawiarniami, z drużyną sportową, czy miejscem atrakcji turystycznych. Tak więc zagadnień jest sporo, wiele jest do zrobienia, tylko nie ma wyobraźni i woli politycznej w głowach obecnych decydentów Białoleki.

P. D. – Czy chce Pan powiedzieć, że osoby rządzące Białoleką źle to robią? Przecież powinno być lepiej. Pamiętam argumenty z ostatniej kampanii samorządowej padające w wielu dzielnicach z ust działaczy PO, że zrobią więcej niż inni, bo Prezydent miasta też jest z Platformy Obywatelskiej i dzięki temu będą mieli więcej

możliwości. Czas pokazał, że chyba nie do końca tak jest.

M. W. – Dokładnie to chciałem powiedzieć i tak jak Pan, pamiętam też tę argumentację, aby w wyborach samorządowych nie głosować na inne partie i stowarzyszenia samorządowe, bo nie będą miały takiego „przebiecia” u Hanny Gronkiewicz-Walt. Dziś wiemy, że prawda jest inna. Dzięki takiemu „wsparcie” białoleckich radnych PO, Pani Prezydent udało się przełamać np. rozbudowę oczyszczalni ścieków „Czajka”, wybudować kolejną „chlubę Białoleki”, a mianowicie bazar przy ul. Marywilskiej, choć zabrakło pieniędzy na obiecaną przebudowę samej ulicy, uruchomiono tramwaj jeżdżący jedynie po moście, wycofano się z budowy metra. Czy gdyby w tym czasie Białolekę rządili mieszkańcy skupieni w organizacjach samorządowych, doszłoby do tego? Wątpię. Dlatego będę starał się przekonywać moich sąsiadów, znajomych i rodzinę, aby w nadchodzących wyborach samorządowych po pierwsze poszli zagłosować, a po drugie, aby wybierali ludzi, którzy są stąd i znają lokalne problemy, są niezależni i niewiązani w partyjne ustalenia i zobowiązania.

P. D. – Z tego co Pan mówi, słyszę, że problemy Białoleki faktycznie są Panu bliskie.

M. W. – To nie są jedynie moje spostrzeżenia. Jednak, aby była ja-

sność, uczciwie muszę przyznać, że obecnie rządzącym udało się także zrobić kilka dobrych rzeczy. Z dużym opóźnieniem, ale jednak powstają tak bardzo potrzebne nowe szkoły, mamy piękne parki, modernizowane są ulice, powstają nowe place zabaw dla dzieci. Nie mniej, to wciąż nie świadczy o wizji, czy pomysł na zrównoważony rozwój Białoleki. Tak wygląda administrowanie, a nie zarządzanie. Brakuje decyzji odważnych, prestiżowych, nadających charakter dzielnicy, zmieniających jej postrzeganie przez nas samych, jak i przez innych Warszawiaków. Dlaczego nie wykorzystuje się kapitału w ramach Partnerstwa Publiczno-Prywatnego, dlaczego pozwalamy na szpetotę i bylejakość, wypełniając przestarzałą publiczną jedynie sklepami sieci handlowych, dlaczego nie powstają inwestycje, które zintegrowałyby społeczność lokalną. To jest mój zarzut skierowany do Burmistrza Białoleki i Jego współpracowników. Nie chcę, aby Białoleka została zredukowana do kolejnej „sypialni” Warszawy. Wierzę, że wcale tak nie musi być.

P. D. – Jakie nadzieje dla Białoleki wiąże Pan z listopadowymi wyborami samorządowymi?

M. W. – Liczę na to, że mieszkańcy Białoleki dokonają wyboru, który uwolni potencjał tej dzielnicy. Marzy mi się, aby o naszych sprawach decydowali reprezentanci wybrani spośród nas, zwykłych

mieszkańców, przedsiębiorców, działaczy społecznych i samorządowych, którzy w swoich decyzjach kierują się jedynie interesem publicznym, a nie wytycznymi z centrali partii. Przykłady innych dzielnic Warszawy, czy miast pokazują, że tam gdzie do głosu dochodzą ludzie rozumiejący i utożsamiający się z problemami swoich społeczności, tam zarządzanie i procesy decyzyjne są szybsze i bardziej efektywne. W tych także miejscach jest mniej korupcji i problemów z niegospodarnością. I tak jak wspominałem na początku naszej rozmowy, wspólnie ze wszystkimi chętnymi i środowiskami dla których nie jest obojętne co dzieje się na Białolece, będziemy chcieli prosić mieszkańców naszej dzielnicy o kredy zaufania. Białoleka zasługuje bowiem na to, aby władza była gospodarzem, służyła ludziom, a nie była dla siebie i działaczy partyjnych.

P. D. – Dziękuję za rozmowę i życzę powodzenia

M. W. – Dziękuję

Marcin Wójcik – lat 37. Wieloletni mieszkaniec Białoleki /Nowodwory/. Jeden z liderów Białoleckiej Wspólnoty Samorządowej. Absolwent UKSW, ukończył studia MBA w SGH, posiada bogate doświadczenie społeczno-samorządowe, prywatny przedsiębiorca, szczęśliwy mąż i ojciec.



Rozmowa z **Piotrem Wójcikiem**

– **Wspierał Pan w 1989 r. Jacka Kuronia, którego rywalem walczącym o ten sam posełski mandat z Żoliborza został Władysław Siła-Nowicki. Czy obawiał się Pan bratobójczego wymiaru ich starcia?**

– Byliśmy zaangażowani w struktury komitetów obywatelskich, które tworzyły się samorzutnie w kampanii przed wyborami 4 czerwca. Pracowały na rzecz kandydatów, których firmował Lech Wałęsa. Pochodzę z Żoliborza – to mój teren. Jacka Kuronia współpracujący ze mną Andrzej Anusz znalazł jeszcze wcześniej. Dowiedzieliśmy się po prostu, że kandydatem „Solidarności” na Żoliborzu będzie Jacek Kuroń. Dla nas nie był to żaden wybór polityczny, tylko wyjście z cienia i – jeśli można tak powiedzieć – drugi karnawał „Solidarności”.

– **Pierwszy to pamiętne 16 miesięcy 1980-81...**

– Jeśli zaś chodzi o mecenasa Siłę-Nowickiego, to nawet nie pamiętam, czy od początku wiedzieliśmy, że jemu przypadnie rola kontrkandydata. Z Kuroniem znali się dobrze, dlatego że mecenas też był związany z korowską opozycją. Jednym ze współtwórców KOR-u był szef warszawskiego Kedywu, później czołowy działacz WiN-u i opozycji doktor Józef Rybicki, bliski Siłę-Nowickiemu. Warto przypomnieć kartę Siłę-Nowickiego w okresie powojennego powstania antykomunistycznego, kiedy był wysokim oficerem i ważną osobą w WiN-ie, miał kontakty z „Zaporczykami”. To była postać – legenda. W związku z tym w ogóle nie traktowaliśmy tej kampanii jako rywalizacji z przeciwnikiem.

To była radosna kampania

– **To jak ją traktowaliście?**

– Chcieliśmy zrobić efektowną kampanię, żeby ludzie ją widzieli i się przylączyli. Udało się, skoro mieliśmy wielu chętnych, zgłaszających się do komitetu obywatelskiego do plakowania i innych ról. To był jeden wielki entuzjazm. Zabukowaliśmy wynajęcie na spotkania wszystkich większych sal na Żoliborzu. Jeśli doszło potem do słynnej debaty Kuronia z Siłą-Nowickim w kinie „Wisła”, to także dlatego, że mieliśmy tę salę z góry wynajętą. Udało nam się załatwić telebim, na którym wyświetlaliśmy film nawiązujący do tradycji niepodległościowej, a także idei non-violence. Był Martin Luther King, Papież i muzyka Ennio Morricone... W kinie wszyscy się nie zmieścili, kilkanaście tysięcy ludzi pozostało na placu Wilsona i spoglądało na telebim z ogromnym wzruszeniem. Plac Wilsona w czasie wojny przeżył już sytuację, kiedy ze szczekaczek niemieckich popłynęła niespodziewanie audycja Biura Informacji i Propagandy Armii Krajowej. W 01989 r. po raz pierwszy od wojny na placu nadano audycję, która skupiła ludzi wokół kwestii odzyskiwania niepodległości, w poczuciu wspólnoty, to było wzruszające.

– **A o czym kandydaci dyskutowali?**

– Przyznam, że nie śledziłem ich debaty, bo musiałem pilnować, żeby napierający tłum nie rozbił szklanych drzwi kina „Wisła”, żeby się nikomu nic nie stało... Co jakiś czas rwał się nam kabel z transmisją debaty na telebimie, musieliśmy wszystko łapać. Wiem, że debata była długa i jak mi później odpowiadało – ciekawa.

– **Jak przebiegała rywalizacja?**

– Podawano informacje o przeszłości, zaangażowaniu i formacji ideowej obu kandydatów, nie kryjąc różnic, ale w sumie kampania była świętem odzyskiwanej wolności. Bardzo radosnym.

– **Konfrontacja kandydatów wywodzących się z „S” radości nie stłumiła?**

– Nie pamiętam wątku konfrontacji z Siłą-Nowickim w sensie personalnym. Jego kampanię prowadził zresztą mój kolega z liceum Sempolowskiej Piotr Gryza, zaangażowany później w warszawski samorząd. Gdy

nadeszły już wybory, siedzieliśmy w komisji i wspólnie z przedstawicielami Siły-Nowickiego pilnowaliśmy, żeby nam ich komuniści nie sfalszowali. Wątku konfrontacji pomiędzy nami nie pamiętam, chociaż... to były prawdziwe wybory. Bo wszędzie indziej był plebiscyt. A tu – dwóch z krwi i kości zasłużonych kandydatów solidarnościowych, którzy między sobą rywalizowali.

– **A władza, MO? Gdzie byli?**

– Miałem wtedy niesłychanie zużyty samochód koloru wściekle seledynowego, rozpoznawany już w „Niespodziance” i na Żoliborzu. Rozwoziłymi nim ulotki i plakaty do rozlepiania. Miałem ekipę chłopaków, wysłaliśmy na przystanek, rozdawaliśmy ulotki. Wtedy pojawili się policjanci. Zaczeli krzyzczeć, że zaśmiecamy miasto i zapłacimy mandat. Byliśmy w tak dobrych nastrojach, bo ludzie nas pozytywnie odbierali, ciesząc się, że za chwilę nastanie wolność, że zignorowaliśmy tę agresję. Podszedłem do jednego z policjantów. Wepchnąłem mu do rąk sporą paczkę ulotek, mówiąc: „masz człowieka, nie wściekaj się, rozdaj to kolegom”. On zbierał. Po prostu wzięli te ulotki i poszli.

– **Święto demokracji... Ale byli zwyczajcy i pokonani. Kuroń dostał dwie trzecie głosów, Siła-Nowicki jedną piątą. Co zdecydowało o werdykcie mieszkańców Żoliborza?**

– Na pewno o proporcjach oddanych głosów mogła rozstrzygnąć kampania: staraliśmy się, żeby była intensywna, spotkał mój kolega bardzo wiele. Chcieliśmy, żeby Jacka Kuronia jako kandydata Wałęsy było widać. Wydrukowaliśmy 20 tysięcy dwóch różnych plakatów rozklejone na Żoliborzu. Na jednym Kuroń stał na tle „Merkurego”, na drugim w innym planie z Lechem Wałęsą. Śp. Jerzy Wertenstein-Zuławski napisał wtedy: „przyjeżdżam na Żoliborz. W autobusie Kuroń. Wychodzę z autobusu – na przystanku Kuroń. Wsiadam do tramwaju – w tramwaju Kuroń. Przychodzę do domu – na klatkę Kuroń. Otwieram lodówkę – Kuroń”. Tak to opisał, a był ważną postacią w komitecie obywatelskim na Żoliborzu. Jednak decydujące znaczenie miało istnienie drużyny Lecha Wałęsy. Ludzie się identyfikowali ze zmianą, postaciowaną przez komitet „Solidarności”. Nie do końca rozumieliśmy, dlaczego Siła-Nowicki nie jest kandydatem „Solidarności”. Nie mieliśmy o to do niego pretensji, lecz nie wiedzieliśmy, dlaczego tak się stało. Kilkudziesięciu młodych ludzi, którzy przewinęli się przez tę kampanię, nie mówiąc o starszych osobach, znajomych Jacka – szczerze mówiąc to nie interesowało. Przekaz był jeden: trzeba wygrać wybory, żebyśmy mieli wolną Polskę i mogli po otlani komunizmu budować ją od nowa. Później się dowiedzieliśmy, że niektóre osoby, jak Kazimierz Leski „Brad”, nie zostały zaproszone do komitetu obywatelskiego. Zaczęliśmy te różnice jednak czytać dopiero później.

– **Dlaczego nie wtedy?**

– Wiedzieliśmy, że kontrakt okrągłostołowy ma nam dać demokrację „w jednej trzeciej”, więc musimy pokazać, że układ nie ma znaczenia, liczy się poparcie dla obozu „Solidarności”. Proces późniejszego budowania sceny politycznej był czymś naturalnym. Zacementowanie dwóch obozów: postkomunistycznego i solidarnościowego bez uwzględnienia ideowych motywacji i postaw, a także programów, które zaczęły się z czasem krystalizować, byłoby fałszywe. Taka refleksja przyszła dużo później, po wyborach 4 czerwca. Tu był plakat z Cooperem „w samo południe”, różne symbole święta, karnawału „Solidarności” i ani przez chwilę, widząc reakcje ludzi, nie mieliśmy wątpliwości co do wyniku. Zaś to, co w tamtej kampanii zbudowano w sensie ludzkiej aktywności, ruchu społecznego, stało się bazą dla ruchu komitetów obywatelskich, który później był podstawą kształtowania pierwszych postsolidarnościowych partii politycznych. Kampania wyborcza nie była tylko zdarzeniem, które się odbyło i zamknęło, lecz miała dalszy ciąg, bo ludzie, którzy zaangażowali się w zmianę – nie tylko uczestniczący wcześniej w działalności konspiracyjnej i wydawniczej – uważali, że trzeba iść dalej. Dlatego komitety obywatelskie wystartowały potem w pierwszych wyborach samorządowych – do gmin. I odniosły znów sukces, ze znaczną przewagą wygrały.

– **Czy tamten czas jawi się jako wyjątkowy?**

– Po 25 latach niestety mamy mało okazji, żeby przeżyć poczucie wspólnoty, tożsamości, bycia razem. Dotyczy to całości narodu, ale i społeczności lokalnych. W czasie, który ja nazywam drugim karnawałem „Solidarności” ludzie mieli poczucie bycia razem i cieszyli się nim. Poczucie wspólnoty daje ogromny kapitał energii społecznej dla pozytywnych zmian, żeby życie publiczne nie było zarezerwowane dla jednej kasty zawodowych polityków, ale zyskało wymiar najbardziej obywatelski. Etos obywatelski, który później przełożył się na wybory samorządowe i budowanie demokracji lokalnej miał źródło w energii społecznej wyzwolonej 4 czerwca i ten wspaniały, piękny, ciepły rys poczucia bycia razem przeciwko temu, co uważaliśmy za złe i wreszcie zamierzaliśmy odrzucić po długim okresie walki z systemem. Sytuacje wspólnego zmieniania rzeczywistości jeszcze się potem zdarzały, ale nigdy w tej skali. Dzisiaj bardzo tego brakuje. Wiadomo, że narody i społeczeństwa nie mogą przez długi czas utrzymywać stanu emocjonalnego pozytywnego wrzenia, kumulacji energii. Brak tego odczuwamy w sytuacji, kiedy pojawia się rozdział pomiędzy życiem ludzi i postrzeganiem przez nich życia publicznego, a tym, jak postrzegają je ci, którzy politykę uprawiają zawodowo. Ta przepaść okazuje się coraz większa i stanowi główny problem społeczny i państwowy w dzisiejszej Polsce.

Piotr Wójcik (ur. 1963) działał w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów. Wiosną 1989 r. współtworzył kampanię wyborczą Jacka Kuronia, kandydującego na posła z warszawskiego Żoliborza. 4 czerwca Kuroń uzyskał 65,9 proc. głosów, co dało mu mandat w pierwszej turze. Jego głównego rywala Władysława Siłę-Nowickiego poparło 21,1 proc. żoliborskich wyborców. W wolnej Polsce Piotr Wójcik był posłem Porozumienia Centrum i Ruchu dla Rzeczypospolitej (1991-93) oraz Akcji Wyborczej Solidarność (1993-2001). Ostatnio uczestniczył w produkcji filmu „Kamienie na szaniec”.

Rozmowa z **Krzysztofem Królem**

– **4 czerwca 1989 r. kandydując z Konfederacji Polski Niepodległości, a nie Komitetu Obywatelskiego „S” uzyskał Pan 3,7 proc. głosów w walce o mandat posełski z Grudziądza. Jak to się stało, że startowaliście osobno?**

– KPN była partią jednego celu, czyli odzyskania przez Polskę niepodległości, a potem jej utrzymania. Ale w czasie, o którym rozmawiamy, chodziło o odzyskanie wolności. KPN była pierwszą partią polityczną w obozie sowieckim od kilkudziesięciu lat. Oczywiście, że partia korzysta z narzędzi politycznych, jakim są wybory. Jeszcze w 1980, u schyłku epoki Edwarda Gierka – KPN zgłosiła własnych kandydatów przeciwko Frontowi Jedności Narodu, obejmującemu PZPR, ZSL i SD. Zostali nimi m.in. Leszek Moczulski i Romuald Szerebietew. Oczywiście KPN do wyborów nie dopuszczono, a jej kandydatów aresztowano. Ale to pokazuje, że w idei i praktyce działania Konfederacji nadrzędne pozostawało korzystanie z metod politycznych. Czas do 1986 Leszek Moczulski niemal w całości spędził w więzieniu. Zakładaliśmy, że wolność będziemy wykuwać etapami. Zależało nam na poszerzaniu jej zakresu. W swoim ostatnim słowie, gdy sąd PRL skazywał mnie w procesie drugiego kierownictwa KPN, zapowiedziałem, że ten wyrok unieważni albo wybuch społeczny, albo Sejm, uchwalający amnestię. Przesiedzia-

Wolność wykuwaliśmy etapami



łem jeszcze później tylko sześć miesięcy, bo we wrześniu 1986 r. generałowie zmuszeni byli pod naciskiem społecznym ogłosić wypuszczenie więźniów politycznych. Zakładaliśmy więc

jawne biura KPN. W wydawanej poza cenzurą prasie podpisywaliśmy artykuły nazwiskami. Podawaliśmy adresy kontaktowe. W tym czasie komisje zakładowe „Solidarności” zaczęły

składać oficjalne wnioski o rejestrację – to był pomysł Andrzeja Milczanowskiego. Działały w konspiracji struktury związkowe, w ukryciu wydawano bibułę, ale wiedzieliśmy, że – jak to ujął Leszek Moczulski – w podziemiu można przetrwać, ale w podziemiu się nie wygra. Koncepcję porozumienia „Solidarności” z władzą pojawiły się przy okazji strajków 1988 r – najpierw majowych, później sierpniowych. Wtedy już było widać, że tej wolności mamy coraz więcej. Pamiętam, jak prowadziłem demonstrację po mszy u św. Stanisława Kostki, a szpaler zomowców stanął przy placu Wilsona. Przemówiłem wtedy i przypominałem: wczoraj nie mogliśmy wyjść z kościoła. Dzisiaj doszliśmy do placu Wilsona i ZOMO nas nie atakuje, bo już nie ma siły. Wkrótce dojdziemy dużo dalej... Zabrało nam to trochę czasu, ale formuła poszerzania wolności była strategią KPN.

– **Czy konfrontowaliście ją z poglądami innych formacji?**

– Gdy zaczęto mówić o porozumieniach, w roku 1988 udało się doprowadzić do rozmów całej opozycji. Z inicjatywy KPN odbyło się spotkanie u ks. Indrzejczyka, w salce kate-

chetycznej żoliborskiej parafii. Prowadzili je wspólnie Tadeusz Mazowiecki i Leszek Moczulski. Obecni byli Bronisław Geremek i Jacek Kuroń, również Wojciech Mysłęcki z „Solidarności Walczącej”, przedstawiciele Liberalno-Demokratycznej Partii „Niepodległość” i Polskiej Partii Niepodległościowej. Uczestniczyłem w tamtym spotkaniu, oryginał listy obecności zachowałem do dzisiaj. Wtedy szczególnie LDP, „N”, SW i PPN twierdziły, że linia porozumienia nie ma szans, bo komuniści i tak nie dotrzymają słowa, a rozmowy skończą się represjami, jak kiedyś zaproszenie przez władze radzieckie przywódców Polski Podziemnej. KPN mówiła co innego: też nie wierzymy, żeby wszystko się udało, ale każde poszerzenie wolności uznamy za wspólny sukces. Nie będziemy na pewno przeszkadzać w osiągnięciu tego sukcesu. W dzień przed obradami Okrągłego Stołu zorganizowaliśmy w dwóch turach kongres KPN, w części warszawskiej rozbity przez bezpiekę, ale w drugiej krakowskiej – już nie. Rada polityczna KPN wydała oświadczenie oceniające, że porozumienie nie stanowi oznaki siły, tylko słabości komunistów.

Czytaj dalej na str. 13.

Dokończenie ze str. 12.**– Po co startowaliście w wyborach?**

– Wybory potraktowaliśmy w ten sposób, żeby pokazać kandydaturę KPN, móc udzielać wywiadów dla oficjalnej prasy. Po to, żeby skuteczniej z komunistami walczyć.

– Wspólnej listy z „S” nie było, ale kontaktów nie zaprzestaliście?

– Nikt do końca nie wiedział, jakie te wybory będą. Uzgodniliśmy więc, a potem podpisaliśmy porozumienie pomiędzy komitetami obywatelskimi a KPN, którego sygnatariuszami byliśmy: Jan Lityński z komitetów, a z KPN ja. Ustaliliśmy, że staramy się w ten sposób skoordynować zgłaszanie mężów zaufania, żeby było ich jak najwięcej. W pierwszej turze wyborów konkurujemy ze sobą, ale w drugiej – deklarujemy wsparcie kandydatów. Dlatego nie można postawić KPN zarzutu, że wystartował przeciwko kandydatom Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” – po-

nieważ wybory odbywały się w dwóch turach. Było więcej niż pewnie, że jeśli ktoś z „S” nie wygra w pierwszej turze, ale wejdzie do drugiej i nie będzie w niej miał konkurenta z KPN – to wtedy udzielimy mu poparcia. I odwrotnie... co jak pamiętamy jednak się nie zdarzyło, bo zwycięstwo „Solidarność” okazało się imponujące. To było ostatnie, tym razem zwycięskie powstanie narodowe, tyle że narzędziem okazała się kartka wyborcza. KPN też może mówić, że wygrał skoro na manifestacjach i spotkaniach wzywaliśmy do udziału w wyborach: żeby nie bojkotować, tylko głosować, oczywiście na kandydatów KPN, których było około dwudziestu, a wszędzie, gdzie ich nie zgłoszono – na kandydatów „Solidarność”. Działaliśmy więc.. wspólnie i w porozumieniu.

– Skąd się Panu wziął Grudziądz jako okręg wyborczy?

– To absolutny przypadek. Działała tam silna struktura KPN, a ponieważ jako wicepre-

wodniczący Konfederacji prowadziłem ogólnopolską kampanię i jeździłem dosłownie wszędzie – nie tylko do Grudziądza – a miejscowa organizacja proponowała mi kandydowanie, stwierdziłem, że to bardzo dobrze, tym bardziej, że nie wierzyłem w powodzenie kandydowania. Wierzyłem w misję KPN, również taką, że „Solidarność” może władzę straszyc nam jako radykalami i w ten sposób więcej od niej uzyskać. Adam Michnik opowiedział mi potem, że wielokrotnie ten mechanizm wykorzystywano. Pamiętam, że wywalczanie wolności odbywało się etapami, a komuniści najpierw nie chcieli się zgodzić na Kuronia ani Michnika przy Okrągłym Stole. Później z kolei nie chcieli przystać na kandydowanie KPN w wyborach. Adam Michnik zadeklarował jednak, że jeśli KPN nie będzie kandydował, to on również nie... KPN był ewidentnie najsilniejszy spośród wszystkich ugrupowań niepodległościowych. Dzięki nam mniejsze okazały się roz-

miary bojkotu. Nie tylko ułatwiliśmy zadanie „Solidarność”, ale również spopularyzowali KPN na tyle, że po następnych wyborach w 1991 r. staliśmy się trzecią siłą w Sejmie.

– Czy doszło do jakiegokolwiek debaty w grudziądzkim okręgu między Panem a kandydatem „S” Wiktorem Kulerskim?

– Nie, ponieważ wiedzieliśmy, że debata między nami sprowadzałaby się do wzajemnego potakiwania. Za to odbyłem szczęśliwie debaty z przedstawicielami miejscowego PZPR. Gdy występowali w zakładach pracy czy szkołach, zgłaszała się działaczka KPN i oznajmiali, że na sali zasiada ich kandydat, gotowy do wymiany poglądów. Czasami się udawało i dopuszczano nas do głosu na spotkaniach, anonowanych jako wyborcze mityngi PZPR. Mówiliśmy wtedy, że trzeba wycofać z Polski wojska radzieckie, a PZPR zdelegalizować.

– Paradoksalnie chociaż nie wprowadziliście do parlamentu nikogo pod flagą KPN, to reprezentację w nim mieliście, ponieważ nie-**którzy wybrani z list Komitetu Obywatelskiego „S” kandydaci nie taili związków z KPN?**

– Senator Andrzej Fenrych z Tarnowa akcentował w kampanii swoją działalność w KPN. Bliski KPN był również poseł Tadeusz Kowalczyk, działacz „Solidarność” Rolników, a w Sejmie inicjator debaty o morderstwach popełnionych przez bezpiekę. To na podstawie sejmowego wystąpienia Kowalczyka, gdy powiedział o stu ofiarach stanu wojennego, powstała komisja Jana Rokity, badająca okoliczności śmierci działaczy opozycji z tamtych lat.

Krzysztof Król (ur. 1963) za działalność w Konfederacji Polski Niepodległej był przez półtora roku więziony przez władze PRL. W wolnej Polsce w latach 1991-97 sprawował mandat poselski, m.in. przewodniczył klubowi parlamentarnemu KPN. Doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego.

Rozmowa z Leszkiem Majczyną
Sołtysiem wsi Ulaszewo Ludwikowo
gmina Stara Biała**– Jak doszło do tego, że stał się Pan liderem lokalnej społeczności?**

– Decyzję o wysunięciu mojej kandydatury na sołtysa podjęli sami mieszkańcy, do mnie z tą ofertą przyszli na końcu. Uznałem, że skoro tak postanowili, to od tego momentu jest to nasz wspólny zamiar. Zrobiliśmy kampanię, w dwie godziny wysłaliśmy do wszystkich SMS-y. Frekwencja w tych lokalnych wyborach okazała się znacząco wyższa, niż do tej pory. Zwykle za kandydaturą optują sąsiedzi, reszta mieszkańców się nie angażuje.

– Jaki przynosiło to efekt?

– Wcześniej mieszkalem już od kilku lat w tym samym miejscu, ale sołtysa nie widziałem. Postanowiliśmy to właśnie zmienić.

– Został Pan sołtysiem w swojej wsi, ale pracuje Pan w mieście, w straży pożarnej w plockim Orlenie?

– Z wykształcenia jestem informatykiem, we Włókowicu ukończyłem studia na Wydziale Informatyki Stosowanej, kierunku Administrowanie Sieciami Komputerowymi oraz Informatykę w Zarządzaniu. Kierunek Informatyka, jednocześnie będąc pracownikiem Zakładowej Straży Pożarnej PKN Orlen S. A, ukończyłem Wyższą Szkołę Służby Pożarniczej w Warszawie na kierunku Zapobieganie Pożarom i Awariom w Przemśle.

Wybrałem miejscowość Ludwikowo jako miejsce zamieszkania, bo tu znalazłem piękną działkę, ciszę i spokój. Dopiero po wybudowaniu domu okazało się, że poza ciszą i spokojem mam też wspaniałych sąsiadów, na których zawsze można liczyć.

Cała rodzina obawiała się bliskiego sąsiedztwa wysypiska śmieci w Kobiernikach, ale nowe technologie i rozwiązania, które są stosowane, okazały się wystarczające, a ZUOK nie jest już taki uciążliwy jak był kiedyś.

– I szukając dla siebie spokojnego miejsca... pobudził Pan do działania innych? Panuje opinia, że w Pana sołectwie dzieje się więcej niż w innych, a Pan, który to wszystko organizuje, cieszy się zainteresowaniem mediów, jako swego rodzaju fenomen?

– Nie przesadzajmy. Żaden lider, a tym bardziej żaden fenomen, raczej zwykły sołtys, który ma siłę i chęć na budowanie społeczeństwa obywatelskiego. Rzeczywiście do pobudzania ludzkiej aktywności przywiązuje wielką wagę. Sołectwo Ulaszewo Ludwikowo uczestniczyło w organizowanej m.in. przez Fundację Batorego oraz Szkołę Liderów akcji „Masz głos, masz wybór”. Zależy mi na tym, żebyśmy w pełni wykorzystali z praw; jakie zapewnia demokracja. Zaczęliśmy rejestrować sesje rady gminy na video, mamy swój portal internetowy, forum dyskusyjne, sołecki system powiadamiania sms, bazę informowania mieszkańców emailami, nawet

Ludzie trochę szaleni są potrzebni



facebooka. Jestem pośrednikiem między radą gminy a mieszkańcami, ale zawsze może pojawić się wątpliwość, czy aby na pewno tak jest jak mówi sołtys. Udostępniłem w internecie nagrania obrad radnych, żeby mieszkańcy sami zobaczyli i posłuchali, jak radni uzasadniają swoje decyzje i lepiej mogli ich ocenić. Prawo do nagrywania sesji rady zapewnia nam Konstytucja. Trudniej poszło, gdy zażądałem od radnych ujednolicenia adresów mailowych, zawierających imię i nazwisko, żeby wyborcy w dowolnym momencie mogli się do nich zwrócić z problemami lub zapytaniami. Radni na to mówią, że nikt ich nie będzie uczył, jak mają pracować. Wiem, że w małej gminie połowa mieszkańców nie wie, jak wygląda ich radny czy sołtys, który przecież ich reprezentuje. Mijają go na drodze, ale nie wiedzą nawet, że jest radnym czy sołtysiem.

– Organizował Pan również kino letnie i festyny.

– W sołectwie, gdzie mieszka 350 osób – zawsze znajdują się ludzie do tego, aby zrobić coś dobrego. Zaczęliśmy od sołeckiego lodowiska na działce, którą pozwoliła wykorzystać gmina. Działka była zarosnięta i straszyla wszystkich, którzy przechodzili obok niej. To naprawdę budujące, jak co sobota 10 osób z łopatami i siekierami w pocie czoła starało się doprowadzić te nieruchomości do użytku. Jedni siłą własnych rąk, inni gotując zupę i przynosząc kawę dla zapracowanych sąsiadów.

Potem seryjnie organizowaliśmy pikniki rodzinne, na które przychodziło 250-300 osób. Niestety moje sołectwo Ulaszewo-Ludwikowo nie ma świetlicy wiejskiej. Wójta prosiłem więc

o salę. Zebrania można wprowadzić organizować w remizie w sąsiednim sołectwie, ale tylko latem, ponieważ sala nie jest ogrzewana. Pani dyrektor szkoły w Wyszynie raz przejawiała chęć wspólnego zorganizowania pikniku rodzinnego, ale gdy już przedstawiłem program mojego wkładu w imprezę, zapomniała do mnie numeru telefonu. Podobna sytuacja jest w przypadku sali na organizację zebrania wiejskich – w szkole nie ma na to pozwolenia. Dziwi mnie to, ponieważ zawsze byłem przekonany, że właśnie szkoła powinna uczyć obywatelskiej aktywności. Robimy jednak swoje. W tym roku odbędzie się już czwarta pielgrzymka rowerowa do Częstochowy, trzeci rajd Sołecki Poszukiwacz Skarbów oraz kolejne spotkanie z Mikołajem.

To jest ostatni rok mojej kadencji i dlatego teraz znacznie przyspieszamy z aktywnością w naszym sołectwie i musimy zakończyć projekt budowy Sołeckich Szachów Plenarowych. Sponsory są, więc to kwestia kilku tygodni i będzie można rozegrać pierwszą partię.

O wszystkich imprezach powiadamy mieszkańców SMS-ami. Kino letnie nazwalimy Sołeckim Kinem Plenarowym, film może w nim obejrzeć – jak ostatnio – ponad 100 osób, zaś koszt wynosi raptem 320 złotych: tyle płaci się za prawa autorskie i promocję przez wyspecjalizowaną agencję. Przyjemnie było popatrzyć, jak całe rodziny z koszykami piknikowymi i kocami rozkładają się przed ogniskiem i czekają na pierwszą emisję.

– Dzięki takim imprezom zrobiło się o Panu głośno.

– Nie o mnie, a o naszym sołectwie Ulaszewo-Ludwikowo. Miałem przyjemność poznać

senatora Ireneusza Niewiarowskiego, prezesa Krajowego Stowarzyszenia Sołtysów, od którego dostałem zaproszenie do poprowadzenia prelekcji na temat nowych technologii w funkcjonowaniu sołectw na targach w Poznaniu, a potem do utworzenia Stowarzyszenia Sołtysów Mazowsza, którego teraz jestem wiceprezsem. Mamy w swoim gronie naprawdę wspaniałych ludzi, pracowitych i kreatywnych, którzy robią wszystko co tylko możliwe, aby mieszkańcom żyło się lepiej. Prezes SSM, Grażyna Jalgos-Dębska czy Maja Winiarska-Czajkowska – o nich już jest głośno w całym kraju, gdyż każda wolna chwila poświęcają innym.

W Akcji „Masz Głos Masz Wybór”, podczas Gali Super Samorząd 2013, nasze sołectwo zdobyło wyróżnienie. Tylko i aż... nas wyróżniono, ponieważ nagrody przyznaje się za współpracę mieszkańców z władzą lokalną, a w moim przypadku akcję organizowałem bez współpracy z gminą.

Trzy lata składania petycji o wyodrębnienie funduszy sołeckich nie przyniosły żadnego efektu. Nie jest to dla mnie całkowicie zrozumiałe, skoro radny od trzech lat głosi przeciw funduszom sołeckim, a za chwilę prosi wójta o trzy ławeczki na które już od trzech lat czeka. Tłumaczenia, jakie słyszałem, to zbyt mały zwrot jaki dostaje gmina, brak wiedzy na co można przeznaczyć fundusz sołecki i jak go rozliczyć.

Pomysłów mamy naprawdę dużo, ale bez wsparcia mieszkańców i sponsorów połowa nie jest do zrealizowania. Wystarczy uchwalić fundusz sołecki i wszystkie problemy rozwiązuja się same. Miałem zaszczyt osobiście

być świadkiem podpisania znowelizowanej ustawy o funduszu sołeckim, która daje znacznie większe korzyści. Pan Prezydent 11 marca podpisaniem nowelizacji ustawy w Łasku zrobił wszystkim sołtysom wspaniały prezent dokładnie w Dzień Sołtysa. W swoim przemówieniu Bronisław Komorowski podkreślił rolę funduszu sołeckiego w rozwoju samorządności w kraju.

Dziś większość gmin ma uchwalony fundusz, należy tylko go wzmacniać.

Ważne, żeby nie był okazjonalnym, lecz stałym narzędziem rozwoju lokalnych społeczności.

– W jaki sposób?

– Dzięki wydzielonym pieniądzą sołtys może podejmować drobne lokalne przedsięwzięcia, dzięki czemu gmina zajmie się sprawami uznawanymi przez radnych za poważniejsze. Jako prezes Stowarzyszenia Sołtysów Mazowsza wraz z moimi współpracownikami z przyjemnością wszystkim pomożemy. W zorganizowaniu pikniku, przy zaplanowaniu wydatków z funduszu sołeckiego przy jego rozliczeniu oraz doradzimy w wielu kwestiach prawnych. To SSM jest dla sołtysów, a nie sołtysi dla SSM.

– Porozumiewają się poziomo ludzie, którzy chcą coś zrobić dla lokalnych społeczności?

– Tacy trochę szaleni ludzie poświęcają każdą wolną chwilę na integrację mieszkańców i budowanie społeczeństwa obywatelskiego. Potrzebni są do tego, żeby rozwijały się lokalne inicjatywy.

– Kim powinien być sołtys: liderem lokalnej społeczności czy menedżerem?

– Liderem i menedżerem jednocześnie, ale dodałbym jeszcze: sąsiadem, kumplem, przyjacielem. Dobry sołtys – to pracowity i otwarty na pomysły innych, który sam przejawia inicjatywę i potrafi zrobić coś konkretnego, a także umie rozmawiać z ludźmi i organizacjami pozarządowymi. Czy mi się to udaje, tego nie wiem, mam zwolenników i przeciwników. Czas pokaże jak odbierają to mieszkańcy, pocieszające jest to że coraz więcej moich sąsiadów wychodzi z nowymi pomysłami.

Dawny prestiż funkcji sołtysa trzeba przywrócić, żeby tak się stało – trzeba pamiętać, że to osoba która wywodzi się z najbliższego otoczenia i tak naprawdę to od nas mieszkańców zależy jaki on będzie.

Warto przecież coś robić i niekoniecznie czegoś za to chcieć.

Chciałbym, aby zapamiętano jedno zdanie: TWOJA GMINA JEST TWOJA. Wspieraj, Ulepszaj, Współdecyduj.



Rozmowa z Janem Lityńskim

– Skąd decyzja o kandydowaniu z odległego okręgu w tamtych czerwcowych wyborach, z wałbrzyskiego, a dokładniej Świdnicy? Rozumiem, że nie wszyscy mogli startować z Warszawy. Ale jak to się stało, że dawny działacz KOR, który w biuletynach podawał warszawski adres domowy, w drodze po poselski mandat... zawędrował tak daleko?

– Zostałem wybrany, wyznaczony. Byłem w Wałbrzychu od 2 września 1980 r., jak tylko wyszedłem z więzienia po podpisaniu przez władze porozumień sierpniowych. Przyjaźniłem się z Jackiem Pilchowskim, przedstawicielem redakcji „Robotnika” w Wałbrzychu, który potem został sekretarzem komitetu strajkowego i założycielem nowych związków zawodowych. Zadzwoiłem do mnie, gdy tylko wyszedłem i poprosił, żebym przyjechał. Nie pojechałem pociągiem, ale autostopem, żeby mnie nie zatrzymali po drodze. I już zostałem. Siedziałem tam przez pół roku, mieszkalem z nim, jego żoną i dzieckiem w jednym pokoju. Współzakładałem „Solidarność”, jeździłem po zakładach pracy, spółdzielniach produkcyjnych, PGR-ach, domach pomocy społecznej. Bardzo wiele się nauczyłem o tym ruchu, jacy ludzie go tworzą. Poznałem, jak „Solidarność” buduje się w ośrodku

Przeciwnicy właściwie nie istnieli

przemysłowym. Mocno się tam zakorzeniłem. I kiedy po latach oni wybierali kandydatów na posłów – postanowili mieć kogoś spoza Wałbrzyska. Wskazali mnie, a ja się zgodziłem. Nie był to przypadek, czułem się z tamtym regionem związany, również po amnestii w 1986 r. często tam jeździłem. Czasem nawet mówię, że najlepsze decyzje mojego życia zapadały wtedy, kiedy wyjeżdżałem z Warszawy. Tak samo było wcześniej z Radomiem, do kąd Romaszewscy ścignęli mnie, żeby poszukać robotników, którzy nadawali się do pracy organizacyjnej i gdzie zajmowałem się akcją pomocy. Poznawanie Radomia też było czymś innym niż poznawanie Warszawy. Planowane przez nas kółka robotnicze nie udały się, bo wszystkie spotkania były rozbijane przez SB, ale te doświadczenia były wstępem do pomysłu „Robotnika” – uznaliśmy bowiem, że skoro nie da się robić spotkań, to trzeba wydawać pisma.

– Natomiast z Wałbrzyskiem było tak, że dwa razy został Pan zaproszony: gdy rodziła się „Solidarność” i gdy przyszło z niej kandydować do Sejmu?

– Najpierw, jako przewodniczący warszawskiego komitetu obywatelskiego, byłem zdecydowany, żeby nie kandydować. Ale gdy mi zaproponowali – zgodziłem się, była to także forma uznania za to, co wcześniej tam robiłem.

– Kalkulacja drugiej strony, wtedy jeszcze rządzącej pozostawała jednak taka, że w Warszawie czy Gdańsku może przegrają, ale powetują to sobie w mniejszych województwach? Najbardziej liczyli na województwa rolnicze tzw. zielone, gdzie potem... sromotnie przegrali za sprawą wsparcia Kościoła dla „Solidarności” – ale na te przemysłowe też? Nie skrzywdzcie chyba działaczy wałbrzyskich, jeśli powiem, że nie był to

główny ośrodek opozycji?

– Nie zgodzę się z tym. W Wałbrzychu znajdowały się kopalnie, to był bardzo robotniczy okręg, tylko trochę podzielony na Wałbrzych i dużo mniejszych, ale uprzemysłowionych miast, jak Dzierżonów, Świdnica, Bielawa... Zaznaczało się pewne napięcie między górnikaми a resztą pracowników. Zresztą górniczy przywódca, który tworzył „Solidarność” w 1980 r., w 90 proc. byli członkami PZPR. W górnictwie sztygar praktycznie nie mógł pozostać bezpartyjny. Zaznaczał się silny trend lewicowy, bo Wałbrzych budowali w latach 40. górnicy, którzy przyjechali z Francji i często byli związani z partią komunistyczną, zaś ich potomkowie nie mieli oporów przed wchodzeniem do PZPR. Przewodniczącą, Jerzy Szulc był partyjny i... wybrany dośyc przypadkowo: przyszedł na wiec w Kopalni Wałbrzych, gdy się strajk już rozpoczął. Był popularny jako rzutki działacz ZMS-owski. Powiedzieli mu: ty musisz przemówić, bo ty umiesz. Zabrał więc głos i został przewodniczącym. Mietek Tarnowski też był członkiem partii, a w stanie wojennym zachował się bohatersko. Przebywał 13 grudnia 1981 r. za granicą, ale po dwóch miesiącach wrócił do Polski i rozpoczął działalność konspiracyjną, za którą później siedział w więzieniu.

– Co z tej lokalnej specyfiki zostało w 1989 r?

– Kampania była inna niż warszawska. Odbijało się mnóstwo spotkań na rynku, wydarzeń ulicznych. W Warszawie ograniczyły się one do okolic słynnej kawiarni „Niespodzianka” na pl. Konstytucji. Zrobiliśmy tam nawet przejazd bryczkami konnymi od Dzierżonowa do Bielawy. Wszędzie zaznaczał się ogromny entuzjazm, chociaż całą kampanię organizowało może kilkunastu ludzi. Właściwie przeciwnicy nie istnieli. Moimi konkurentami byli: lekarka, ja-

kiś bezpartyjny działacz młodzieżowy z Dzierżonowa, którzy w ogóle nie stali się znani. Myśmy byli znani, odbywaliśmy spotkania, często organizowane przez Kościół, szczególnie w ośrodkach wiejskich. Pamiętam spotkanie na wsi, gdy mówiliśmy do ludzi z balkonu na plebanii. Przyszło na pewno ponad sto osób. Sale kinowe w miastach, gdy prezentowaliśmy się wyborcom, były pełne. Nigdy się do końca nie jest pewnym wyniku, ale w zasadzie nie było innej możliwości, niż nasza wygrana... Jurek Szulc pokłócił się z Mietkiem Tarnowskim, który kandydował na senatora, założył własny komitet i był pewien, że wygra. Uzyskał pięć procent.

– Do Senatu w kraju mandaty uzyskali wszyscy kandydaci „Solidarności” z wyjątkiem Piotra Baumgarda, który jako jedyny nie zrobił zdjęcia z Wałęsą i przegrał z Henrykiem Stokłosą. Kandydaci władzy, jak Pan mówi, nie istnieli...

– Najlepszy wynik uzyskał Kwaśniewski, 38 procent w Koszalińskim, ale też przegrał z Gabriłą Cwojdziańską...

– ... emerytowaną nauczycielką muzyki, skromną starszą panią... Podkreśla Pan, że przeciwnicy nie istnieli. Ale przecież była druga runda, gdy kandydaci PZPR i jej sojuszników walczyli między sobą, a Wam przyszło wskazywać... mniej złych?

– Po pewnym czasie podszedł do mnie jakiś człowiek w Sejmie: – Należy ci się ode mnie wielka wdówka i w mordę. Okazało się, że kiedy mieliśmy spotkanie w sprawie kandydatów PZPR, stwierdziliśmy, że w Wałbrzychu do drugiej tury przeszła sędzina Koronkiewicz oraz prezes spółdzielni cukrowniczej Roman Norbert. Powiedziałem wtedy, że ponieważ sędzina Koronkiewicz skazywała naszych kolegów, trzeba poprzeć jej kontrkandydata, chociaż był lektorem KW. Dzięki temu niespodziewanie wygrał. Stąd ta duża wdówka... Druga historia wiąże się już z Warszawą. Wiesław Kaczmarek walczył o mandat dla PZPR na Woli, gdzie jego konkurentem był Ryszard Łukasiewicz, redaktor naczelny „Expressu Wio-czarnego”. Kaczmarek przyszedł do mnie i opowiadał, jak w PZPR zakładał struktury poziome. Powiedziałem mu: „panie Wiesławie, ja pana konkurenta znam od 1966 r., kiedy był przewodniczącym ZMS na Uniwersytecie Warszawskim. To jest najlepsza dla pana rekomendacja”. W drugiej turze Kaczmarek przeskoczył bardziej wtedy znanego Łukasiewicza, co pokazuje ówczesną siłę naszego oddziaływania. Z drugiej strony – ci, którzy przeszli, czuli się naprawdę wybrani, bo musieli pokonać konkurentów. Kartka wyborcza dała im poczucie, że są niezależni od aparatu. Sejm X kadencji okazał się najlepszym sejmem, w komisjach trwała rzeczywista praca, posłowie z PZPR nie stawiali oporu historycznym reformom.

– Zanim jednak do nich doszło... 4 czerwca '89 spędził Pan w Warszawie?

– Tak, ale jeszcze 3 czerwca byłem w Świdnicy. Natomiast gdy przyjechałem do Warszawy, okazało się, że trzeciego przyszły z Włoch plakaty z szeryfem, Gary Cooperem, zamówione przez Henka Wujca, który był sekretarzem komitetu obywatelskiego w kraju. W nocy rozlepialiśmy je...

– Ostatniej przedwyborczej nocy, z 3 na 4 czerwca?

– I tylko w Warszawie, bo przyszły zbyt późno, żeby je rozpowszechnić w całym kraju. Chociaż rozkleiliśmy je wyłącznie w Warszawie, stały się symbolem kampanii w całej Polsce. Zresztą myśmy też mieli plakat, bardzo piękny, autorstwa Waldemara Świerzego, z pięcioma naszymi

kandydatami z województwa wałbrzyskiego...

– Czy część tego ruchu obywatelskiego przeniosła się później na pierwsze wybory wolne również od kontraktu politycznego: samorządowe?

– Tak, do wyborów samorządowych komitety obywatelskie istniały i były aktywne. Po wyborach samorządowych przestały mieć znaczenie. Chociaż pojawiła się koncepcja Jacka Kuronia, żeby je utrzymać, bo ruchy społeczne są lepsze niż partie, skoro rozwiązują konkretne problemy ludzi, a nie zajmują walką polityczną, ale większość uznała ten pomysł za utopijny.

– Coś w nim może było, skoro dziś samorządy dobrze ocenia 57-60 proc. Polaków, podczas gdy parlament – około 20 proc?

– Na pewno upartyjnienie polskiej polityki w mniejszym stopniu dotyka samorządy. Reforma samorządowa okazała się najważniejsza ze wszystkich, które przeprowadziliśmy. Zmiany polityczne wydawały się oczywiste, gospodarcze – konieczne do przeprowadzenia. Zaś reformy samorządowej być może nie mieliśmy w ogóle, gdyby nie ludzie do tego przygotowani i za nią optujący, jak prof. Jerzy Reguński, prof. Jerzy Stępień czy Michał Kulesza. A to reforma samorządowa uratowała budżet państwa. Samorządy okazały się bowiem tą częścią, opartą na twardych podstawach. Dopiero ta reforma oznaczała rzeczywiste wyrwanie komunistom władzy na poziomie lokalnym.

Jan Lityński (ur. 1946) w Marcu 1968 r. uczestniczył w studenckich protestach, po których był więziony. W latach 70 działał w KOR. Później wielokrotnie represjonowano go za aktywność w „Solidarności”. W latach 1989-2001 poseł OKP, Unii Demokratycznej i Unii Wolności. Doradca Prezydenta Bronisława Komorowskiego.

ROZMAWIAŁ ŁUKASZ PERZYNA

10 lat Warszawy i Mazowsza w Unii Europejskiej

Imaja obchodziliśmy już dziesiątą rocznicę przystąpienia Polski do Unii Europejskiej. Po wielu latach starań, poświęceń i spełnieniu narzuconych wymogów w Atenach 16 kwietnia 2003 roku w imieniu naszego kraju traktat akcesyjny podpisali ówczesny premier Leszek Miller, minister spraw zagranicznych Włodzisław Cimoszewicz oraz minister ds. europejskich Danuta Hübner, co otworzyło bezpośrednią drogę Polsce by wraz z Cyprem, Litwą, Słowacją, Czechami, Estonią, Łotwą, Malcią, Słowenią i Węgrami stała się 1 maja 2004 roku pełnoprawnym członkiem wspólnoty europejskiej. Jakie korzyści i jakie wady przez tą dekadę przyniosło Mazowszu i samej Warszawie ów członkostwo?

W stolicy widać w wielu miejscach nowopowstałe inwestycje dzięki dofinansowaniu z pieniędzy unijnych. Możemy się przecież cieszyć z niezwykle trafionego pomysłu, jakim była budowa Centrum Nauki Kopernik na Powiślu. Miejsca edukacji i zabawy, miejsca odwiedzanego chętnie i nie tylko przez samych warszawiaków. CNK jest swego rodzaju fenomenem, który od jego otwarcia rok rocznie odwiedza blisko



milion zwiedzających. Tworzone są lub już powstały także inne miejsca związane z szeroko rozumianą kulturą. Przy ulicy Targowej 50/52 powstało za ok. 38 mln zł. Muzeum Warszawskiej Pragi, które ma przyciągać nie tylko okolicznych mieszkańców, ale także wszystkich odwiedzających miasto turystów. Blisko 1/3 łącznej kwoty inwestycji (12,1 mln zł.) pochodzi z funduszy unijnych. Dzięki pieniądзом z Brukseli udało się odrestaurować, odnowić i stworzyć wiele zakątków w parku i pałacu w Wilanowie czy Łazienkach Królewskich. Jednak największą inwestycją kulturalną stolicy poza Centrum Nauki Kopernik było powstanie w pałacu Ostrojskich Muzeum Fryderyka Chopina. Najnowocześniejsze europejskie muzeum biograficzne, w którego zbiorach jest wiele cenionych eksponatów z autografami samego kompozytora, powstało z inicjatywy Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina i kosztowało niespełna 82 mln zł. z czego blisko 31 mln zł. to dofinansowanie unijne.

Bardzo ważną, jeżeli nie najważniejszą inwestycją infrastrukturalną w okresie ostatnich dziesięciu lat było wybudowa-

nie ósmej przeprawy łączącej obydwa brzegi Wisły. Most Północny, który w późniejszym czasie przemianowany został na most Marii Skłodowskiej – Curie to w szczególności ukłon w stronę mieszkańców Tarchomina oraz preżnię rozwijającej się w ostatnich latach Białoleki. Dzięki tej przeprawie mogą oni w szybki sposób przedostać się zarówno samochodem, tramwajem czy rowerem do lewobrzeżnej części miasta stołecznego.

Jeszcze kilkanaście lat temu wielu warszawiaków udawało się po wodę do wolnostojących budynków lub murków na otwartym powietrzu z kranikami i przynosił z nich do domów wodę oligocenną w baniakach by napić się bez obaw herbaty bądź kawy. Obecnie to już rzadkość, bowiem woda z kranu jest ozonowana i nie czuć z niej chloru. Na nowoczesne wymieniono także filtry węglowe. Wszystko to zasługa rozbudowy i modernizacji oczyszczalni ścieków „Czajka”, na którą Unia Europejska przeznaczyła 2 mld zł., czyli połowę kosztów całej inwestycji.

Dokończenie na str. 11.

DEBATY EUROPEJSKIE MWS W OBIEKTYWIE



Debate w Kobylce



Debate w Warszawie



Debate w Sierpcu



Debate w Żurominie



Debate w Drobinie



Debate w Płońsku

Dokończenie z str. 10.

Równie odczuwalne i oczekiwane były inwestycje związane z ukończeniem pierwszej, a także wsparcie przy budowie drugiej linii metra. Zgodnie z zapowiedziami otwarta jesienią tego roku zostanie centralna część drugiej nitki obejmująca siedem stacji zlokalizowanych między Rondem Daszyńskiego na Woli a Dworcem Wileńskim na Pradze. Inwestycja ta wraz z zakupem trzydziestu pięciu pociągów In-spiro to koszt 5,9 mld zł., z czego prawie połowa wskazanej kwoty pochodzi ze środków unijnych.

Podobnie jest z rozwojem Mazowsza. Samorząd województwa przez dziesięć lat przekazał beneficjentom 14,4 mld zł. z fun-

duszy unijnych. Skorzystały z nich w mniejszym bądź większym stopniu wszystkie mazowieckie samorządy. Dotacje otrzymały organizacje pozarządowe, placówki zdrowia, uczelnie, przedsiębiorcy, instytucje kultury. Dzięki nim udało się także zbudować 123 km nowych dróg i zmodernizować ponad 1100 km już istniejących. Powstało także 665 km ścieżek rowerowych, 1,5 tys. km kanalizacji, 1,2 tys. km wodociągów. Po unijne pieniądze sięgnęło również 150 placówek służby zdrowia, które przeznaczyły je na specjalistyczny sprzęt, informatyzację czy rozbudowę samych ośrodków. Bardzo ważną inwestycją powstała przy wsparciu finansowym z Brukseli było powstanie Mazowieckiego Portu Lotniczego Warszawa – Modlin.

W ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Mazowieckiego najwięcej projektów gminnych dofinansowanych ze środków unijnych zrealizowała gmina Łochów – dziesięć inwestycji oraz gminy: Grodzisk Mazowiecki, Olszewo – Borki i Myszyniec po siedem wniosków. Natomiast wśród miast poza wymienioną już wcześniej Warszawą najwięcej projektów realizowanych było i jest w Radomiu, Siedlcach, Płocku, Przasnyszu, Żąbkach i Legionowie.

Ważnych inwestycji w Warszawie i na Mazowszu jest wiele i ciężko by było je wszystkie wymienić. Na pewno części z nich nie można byłoby zrealizować, gdyby nie pomoc finansowa z Unii Europejskiej. Jednak trzeba przyznać, że poza

dużą ilością niewątpliwych zalet, jakie przyniosła integracja europejska to można wymienić także kilka jej wad, na które składają się głównie te wiążące z dyrektywami przyjmowanymi przez Unię Europejską. Należałoby tu wymienić chociażby wzrost cen produktów spowodowany minimami podatkowymi narzucanymi przez Brukselę (najlepszym przykładem jest akcyza bądź w przypadku produktów spożywczych limity i ograniczenia, za których przekroczenie trzeba płacić drakońskie kary). Niedostosowanie się do unijnych wymogów to również zżora wielkiej grupy mazowieckich rolników, której nie stać na wydawanie nie małych pieniędzy, aby przystosować swoje pomieszczenia gospodar-

cze do warunków proponowanych przez Unię. Podobnie jest w miastach, gdzie małe przedsiębiorstwa nie wytrzymują konkurencji oraz narzuconych wymogów i albo są przejmowane przez większe firmy na rynku albo bankrutują. Zamykane są także polskie fabryki.

Ostatnie dziesięć lat można mimo to zaliczyć do udanych. Rozwój infrastruktury, gospodarki, a także rozwój intelektualny jest zauważalny. Pytanie czy zrównoważy to pozostałe straty i niedociągnięcia, jakie teraz powstają, w momencie kiedy tych unijnych pieniędzy zarówno Warszawa jak i przede wszystkim Mazowsze nie uzyska tyle co obecnie.

MARCIN KALICKI



AGENCJA OCHRONY KOWALCZYK

Oferta nasza obejmuje pełny zakres usług w dziedzinie planowania, organizowania, monitoringu oraz prowadzenia fizycznej ochrony osób i mienia.

Kilkuletnie doświadczenie, jak również rekrutacja specjalistów z policji i wojska pozwalają na szybkie przeprowadzenie kompleksowej analizy potrzeb z zakresu właściwego zabezpieczenia i ochrony, biorąc pod uwagę charakter obiektu, jego lokalizację, obszar, kubaturę, potencjalne zagrożenia, odpowiedzialność i zakres obowiązków.

Infolinia: 801-330-110
Ul. Jana Kazimierza 64
01-248 Warszawa
biuro@aokowalczyk.pl
www.aokowalczyk.pl

**Redakcja Gazety
Samorządność**

Redaktor Naczelny: Paweł Dąbrowski (p.dabrowski@gazeta-samorzadnosc.pl)
Redakcja: Mariusz Ambroziak, Łukasz Perzyna, Grzegorz Szuplewski

Wydawca:

WADIDASACH. PL Sp. z o.o.
Ul. Cypryjska 2G, 02-761 Warszawa
Tel: 22 119 15 69

Drukarnia: Polskapress
Gazeta bezpłatna
reklama@gazetasamorzadnosc.pl
www.mws.org.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych i nie gwarantuje ich publikacji. Zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów i korekty językowej. Za informacje zawarte w reklamach redakcja nie odpowiada.

Biura Mazowieckiej Wspólnoty Samorządowej

WARSZAWA

ul. Marszałkowska 34/50
lok 99
00-554 Warszawa
tel: 22 119 15 69
biuro@mws.org.pl

PŁOCK

al. Jachowicza 40 lok. 6
09-400 Płock
tel: 24 364 98 35
wspolnota.plock1@wp.pl

PIASECZNO

ul. Warszawska 1
05-500 Piaseczno
tel: 22 856 34 74
mws.piaseczno@wp.pl

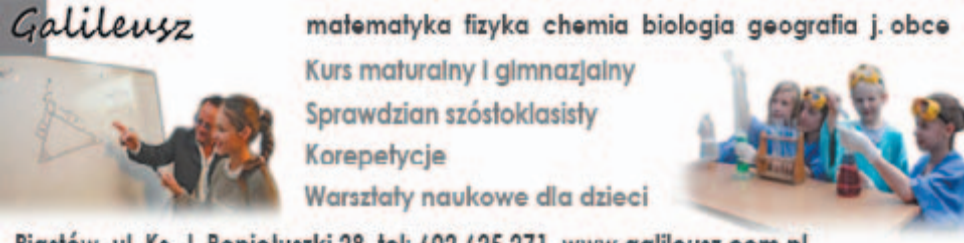


KZA Zielonka Krzysztof Damiński
ul. Powstańców 10A
05-220 Zielonka
NIP 521 040 28 07

Ośrodek wypoczynkowy w Helu

Tanie, 29 zł od osoby za dzień, rodzinne wczasy w Helu. Pomieszczenia 4 i 6 osobowe, każde z kuchnią z pełnym wyposażeniem. Teren ogrodzony, z placem zabaw dla dzieci i parkingiem.

Kontakt: tel. 783 959 766; 509 954 297
Adres: ul. Dworcowa 3/7, 84-150 Hel



Galileusz matematyka fizyka chemia biologia geografia j. obce
Kurs maturalny i gimnazjalny
Sprawdzian szóstoklasisty
Korepetycje
Warsztaty naukowe dla dzieci

Piastów, ul. Ks. J. Popiełuszki 28, tel: 602 625 271, www.galileusz.com.pl

Radom, Hotel Iskra**Warszawa, Hotel Belwederski**

Hotele Iskra i Belwederski należą do sieci hotelowej Grupy Hoteli WAM.



www.hotelewam.pl